



rodziłam  
w „Pogodę  
dla bogat-  
czy”,  
(część II) 8-9

Rabelais  
w Dobrym  
Lesie

nie czytam  
Putramenta



krzewienie  
wyników

# KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

21

KONTAKTY  
16 XI 80

Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

## demokracja bez kworum

DYSKUSJA  
O SAMORZĄDZIE  
WIEJSKIM

Obecnie wyraźnie już widać, że bez uzdrowienia rolnictwa nie można przezwyciężyć kryzysu przeżywanego przez Polskę. Jakie miejsce w dziele naprawy ma samorządność wiejska, tak dobrze kiedyś znana ludziom wsi i do końca chyba jeszcze nie zapomniana?

W redakcyjnej dyskusji na ten temat udział wzięli: prof. dr. hab. Andrzej Piekara — wieloletni pracownik Spółdzielczego Instytutu Badawczego, obecnie dyrektor Instytutu Socjologii WSI w Radomiu, Wacław Redliński — wicewojewoda łomżyński, Stanisław Murawski — rolnik ze wsi Tymianki, Leszek Gregorek — prezes GS w Zambrowie, Edward Kapusta — sekretarz komisji społeczno-zawodowej młodzieży wiejskiej ZW ZSMP, Józef Randzio — rolnik ze wsi Koty Rybne. Redakcję reprezentowali: Lech Gizelbach i Stanisław Zieliński.

L. Gizelbach: Zastanówmy się, jak wieś może wpływać na decyzje administracji i jak egzekwować ich realizację? W ostatnich latach wiele mówiło się o demokracji, ale gdy przyszło podejmować ważne dla życia społeczności wiejskiej decyzje, nikt nie pytał o zdanie rolników. Stąd gorzka ich refleksja z czasu jeszcze nie minionego: na wsi się dyskutuje, ale — niestety — nie decyduje. Dzieje się to z wielką szkodą dla rolnictwa i całej gospodarki narodowej.

A. Piekara: Dotykamy tu istoty samorządności, której nie ma bez

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7

## krzyże na łotrach wieszają

ALICJA BASTA

Na rozmowę umówiliśmy się w redakcyjnym bufecie. Pan Stasio zafundował mi małą czarną, a sobie przyniósł porcję zwyczajnej na gorąco z musztardą; wyjął szczyryk, pokroił kielbasę na drobniejsze kawałki, wytarł nóż gazetą i zabrał się do spożywania darów Bożych. By mi się nie nudziło, podsunął pękate teczysko z aktami składanymi w ciągu kilkunastu lat. Sięgnęłam po sfałgowany, egzemplarz tygodnika. Data symptomatyczna: 7 października 1956.

Cytat z urzędowego pisma: „Kalemba, to człowiek niepczytalny, albo świadomy rozrabiacz i obrońca kulaków. Mamy niezbitę dowody szkalowania władzy ludowej, a prócz tego istnieją poszlaki, że ten wasz korespondent broni bogaczy za łapówki. Sprawę Kalembę oddajemy do prokuratora. Radzimy redakcji nie mieszać się do tej brudnej sprawy”.

Redakcja cytowała ten fragment w artykule broniącym swojego współpracownika.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5



# KONKURS „KONTAKTÓW” KONKURS „KONTAKTÓW” „PAMIĘTNIK NASTOLATKA”

Redakcja „Kontaktów”, łomżyńskiego tygodnika społecznego, oraz Młodzieżowa Agencja Wydawnicza zapraszają wszystkich uczniów szkół ponadpodstawowych oraz ich pracujących rówieśników do udziału w ogólnopolskim konkursie na „Pamiętnik nastolatka”.

Nikt lepiej od Was samych nie potrafi ukazać Waszych przeżyć, rozterek, przemyśleń, marzeń i niepokojów, burzy myśli i uczuć czasu dorastania: bo też nikt oprócz Was nie ma takiej świeżości odczuć i sądów. „Pamiętnik nastolatka” umożliwi Wam wypowiedzenie się pełnym głosem o sprawach szkoły, organizacji młodzieżowej, rodziny, o przyjaźni, miłości, o Waszym miejscu wśród ludzi, osobistych powodzeniach i porażkach.

Nie narzucamy Wam tematu ani objętości wypowiedzi. Piszcie, jak potraficie, byle szczerze i odważnie, tak jak pisze się pamiętnik tylko dla siebie. My gwarantujemy Wam — jeśli takie będzie Wasze życzenie — nieujawnienie nazwisk i adresów.

Na konkurs możecie nadsyłać również wcześniej pisane pamiętniki, dzienniki, notatki, korespondencje (do mojego chłopaka, do mojej dziewczyny) i uwagi o prawdzie szkoły i prawdzie życia, sposobie widzenia świata, kraju, regionu.

W konkursie weźmie udział każdy, kto do końca bieżącego roku nadeśle pod adresem redakcji („Kontakt”, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża) napisany czytelnie „Pamiętnik nastolatka”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w styczniu 1981r., a zwycięzcom zostaną przyznane nagrody:  
I — magnetofon kasetowy II — rower-składak III — radiodiodniak turystyczny  
oraz pięć wyróżnień (sprzęt sportowy). Wśród pozostałych uczestników rozlosujemy sto upominków-nie-spodzianek. Druk prac zaczniemy przed rozstrzygnięciem konkursu, płacąc wynagrodzenie według stawek dziennikarskich.



**Z WYSTĄPIENIA** Stanisława Kani w Hucie im. Lenina: „Zmienia- my i będziemy zmieniać tych ludzi, którzy albo nie są w stanie niczego zrozumieć, nie są w stanie się zmie- niać, albo ciężko na nich odpowie- dzialność związana z naruszaniem norm etyczno-moralnych, z rażącymi zaniedbaniami swoich obowiązków czy ciężkimi błędami. [...] Będziemy stwarzać warunki, żeby w całym ru- chu zawodowym widzieć i ważne ogniowo socjalistycznej demokracji, i partnera w rozpatrywaniu wszyst- kich istotnych spraw o zakładowym i państwowym charakterze. Człon- kom partii zalecamy aktywny u- dział w związkach zawodowych i również w działalności związków za- wodowych „Solidarność”. [...] Dzia- łaliśmy dotychczas z niezwykle spokojem, zauważonym przez cały świat. Dziś trzeba powiedzieć gło- śno, że są granice, których przekro- czyć nie wolno. Historia nasza, całe nasze dowiedzenie, potwierdza jak nierozważna jest sprawa socjali- zmu z bezpieczeństwem Polski”.

**SĄD NAJWYŻSZY** po rozpatrze- niu odwołania NSZZ „Solidarność” w sprawie poprawek wniesionych do jego statutu uznał, że Sąd Woje- wódzki przekroczył swoje kompet- encje i unieważnił jego decyzję.

**TADEUSZ GRABSKI** mówiąc o pracach nad ustawą o związkach za- wodowych stwierdził, że „jej projekt przewiduje między innymi zagwa- rantowanie prawa do strajku. Nie może to jednak oznaczać stworzenia możliwości do jego nadużywania. W naszych warunkach, strajk powinien być traktowany jako środek osta- teczny, do którego wolno odwołać się po uprzednim wyczerpaniu wszy- stkich możliwości rozstrzygnięcia za- istniałego sporu i postępowania po- jednawczego.

**NA NARADZIE** wojewodów i pre- zydentów miast, której przewodni-

czył premier podkreślono, że nie ma obecnie ważniejszego zadania niż poprawa zaopatrzenia rynku, zwłasz- cza w żywność. Za niezbędne uzna- no wykorzystanie w terenie wszy- stkich możliwości zwiększenia pro- dukcji artykułów żywnościowych, przede wszystkim w oparciu o po- siadane lokalne zasoby surowcowe i produkcyjne, a także przestrzega- nia pierwszeństwa produkcji arty- kułów o podstawowym znaczeniu dla zaopatrzenia rynku.

**DO POWSZECHNEJ** dyskusji rząd zgłosił założenia pięciodniowego ty- godnia pracy, który ma być wpro- wadzony od 1.01.1981 r. Przyjmuje się w nim za podstawową normę 42,5-godzinny tydzień pracy z 8,5- godzinnym dobowym wymiarem czasu pracy. Zebrania konsultacyjne poświęcone tym założeniom mają odbywać się we wszystkich zakła- dach pracy do 20 listopada.

**W TOKU SPOTKANIA** komisji porozumiewawczej branżowych zwią- zków zawodowych z premierem u- znano za konieczne bezwzględne przestrzeganie w praktyce negocja- cji prowadzonych w sprawach załóg pracowniczych, zasady partnerskie- go udziału wszystkich związków za- wodowych.

**RZĄD WYRAZIŁ** zgodę na pozy- tywne rozważenie sprawy tygodni- ka „Solidarności”. Przez specjalnie powołany zespół zbadane zostaną także problemy dostępu „Solidarno- ści” do niektórych gazet wojewódz- kich, czasopiśm regionalnych oraz radia i telewizji.

**RADA CZSR** „Samopomoc Chłop- ska” podjęła uchwałę w sprawie u- samodzielnienia się spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu, mleczarskiej i ogrodniczo-pszczelarskiej.

**W SPRAWIE** postulatu organizo- wania związków zawodowych rolni- ków indywidualnych na wzór „So- lidarności” wypowiedział się wice- minister Z. Rybicki stwierdzając, że związki zawodowe są organizacją pracowników najemnych a nie rolni- ków indywidualnych.

**WYRAZEM NIEZWYKŁEGO** sza- cunku dla prymasa Polski kardyna- ła Stefana Wyszyńskiego była wizy- ta, jaką papież Jan Paweł II złożył w jego rzymskiej rezydencji — w Polskim Instytucie Papieskim.

**Z ARTYKUŁU** Witolda Pawłow- skiego pt. „Weryfikacja” („Polity- ka”): „Zbigniew Iwanow, 32-latek z wasem, był wybrany do komitetu strajkowego, widać na zdjęciu jak kłęczy w pierwszym szeregu przed prowizorycznym ołtarzem, tuż koło bramy. Kiedy na początku września — nie czekając na odgórne zalece- nia — ogłoszono wybory w organi- zacji partyjnej, został I sekretarzem komitetu zakładowego. — Zgłasza- łem towarzyszy, że jestem wierzą- cy i praktykujący — mówi. — Za- akceptowali. Poprzedni sekretarz i trzech sekretarzy oddziałowych prze- padło w wyborach”.

**Z OBRAD** sejmowej Komisji Zdro- wia („Kultura”): „Zła od kilku lat sytuacja stała się w III kwartale tego roku dramatyczna. Co czwarty lek jest dziś prawie nieosiągalny. Może być jeszcze gorzej, ponieważ na 43 podstawowe surowce do pro- dukcji leków „Polska” otrzymała w III kwartale 14. [...] Sprawa witami- ny D kompromituje nas — podsu- mował kwestię krzywdy przewod- niczący, poseł Rafalski. — Przez 35 lat Polski Ludowej nie rozwiąza- łmy problemu choroby, której moż- że w ogóle nie być. Sprowadźmy, na miłość boską, tran z powrotem. No, ruszmy się! [...] Postulaty z o- statniej komisji zdrowia w sprawie leków daje się streścić w jednym zdaniu: W aptekach mają być le- karstwa. Ale czy wyjaśnienia i po- mysły przedstawicieli resortów stwa- rzają taką nadzieję? Nie. Posłowie mówią: Oni mają dobre samopoczucie od wielu lat. To im weszło w nawyk i bez presji społecznej się nie zmienią”.

**MIECZYSLAW NASILKOWSKI** zauważa w „Życiu Gospodarczym”: „Doświadczenie innych krajów so- cjalistycznych wykazuje, że system ten może funkcjonować dostatecznie długo przy rosnących stałych kosztach, niepełnej informacji w tym zakresie oraz dużej cierpliwości oraz bezrad- ności społeczeństwa. [...] Ujmując sprawę z określoną perspektywą hi- storyczną i w kategoriach paradok- salnej przekory, zarzykowałbym hipotezę, że w napełnionych na tak dużą skalę błędach może w przy- szłości ujawnić się swoista zasługa E. Gierka”.

odbył się uroczysty koncert w Łom- ży zorganizowany przez KW i KM PZPR.

**PRZED III WOJEWÓDZKIM** Zja- zdem ZSL, I sekretarz KW PZPR Waldemar Szpaliński spotkał się z kierownictwem WK ZSL. Przedmio- tem rozmów była bieżąca działal- ność Stronnictwa, przebieg dyskusji nad wytycznymi Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL w sprawie polityki rolnej oraz situa- cja społeczno-polityczna i gospodar- cza kraju oraz województwa. Relac- cję z obrad III Zjazdu (odbył się on 11.XI) zamieścimy w następnym nu- merze.

**W GRAJEWIE** młodzież zrzeszona w ZSMP rozpoczęła budowę pierw- szego spółdzielczego budynku patro- nackiego. Oddanie budynku, w któ- rym zamieszka 60 rodzin, zaplano- wano na koniec przyszłego roku.

**REDAKTOREM** NACZELNYM „Prasy Polskiej” został red. Klemens Krzyżagórski, stały współpracownik naszego tygodnika. Serdecznie gra- tulujemy.

## dwadzieścia ekonomiki



## rezerwy... w myśleniu

Nie chcę się chwalić. Ale zanim prof. Czesław Bobrowski, jeden z nestorów naszej ekonomii na pyta- nie redaktora „Życia Warszawy” co sądzi o rezerwach odpowiedział, że termin ten nie kojarzy mu się z do- brym gospodarowaniem, na tym sa- mym miejscu trzy miesiące temu bez porozumienia (i przed Porozu- mieniem) pisałem o dętości uru- chamiania rezerw, o tym, że jest to niebezpieczne słowo — wytrych.

Niestety, nadal tu i ówdzie, może nieśmiało ale konsekwentnie, wraca się do tego pojęcia. Słyszę o re- zerwach wykorzystania mocy wy- twórczych, rezerwach tkwiących w wydajności pracy, w rolnictwie, transporcie i Bóg wie jeszcze gdzie. Czytam ubolewania, że tak źle idzie, że gdyby tak wykorzystać istniejące rezerwy...

Hola panowie! Mówicie „rezerwy”, a w domyśle zachęacie do lepszej pracy (bo przecież „postulatów do- garnka się nie włoży” — jak to ktoś powiedział a inni powielają na o- krągło). Otóż, mało kto przy zdro- wych zmysłach nie zdaje sobie sprawy, że „bez pracy nie ma kolaczy”. Obiboki, patentowane lenie, ludzie z marginesu społecznego oczywiście są, nie od ich „pracy” jednak zależy nasz los.

I dlatego nie o nawoływanie do pracy powinno nam chodzić, a o tworzenie klimatu wyzwalającego chęci do pracy. Jeżeli już ktoś chce obstawać przy wyzwalaniu re- zerw, to jedynie rezerw zdrowego myślenia.

Takiego, które skutecznie usuwa- łoby wszystko to, co odbiera chęć do pracy. Jeżeli słyszę, że w jakimś zakładzie z tytułu podwyżek (zwa- nym potocznie dodatkami drożdżnia- nym) nisko unoszący robotnik do- stał 400 złotych a dyrektor 1000 zo- łotych, jest to dla mnie dowodem złe- go myślenia. Jeżeli w fabryce typo- wo „zaopatrzeniowej”, takiej co to produkuje ani na rynek ani na eks- port, podgania się plan, to tam wła- śnie uruchomiłbym rezerwy zdro- wego pomyślniku: czy nie zrobić na odwrót? Czy nie wyliczyć tych a- gregatów, które ani chybi produku- ją „na skład”?

Jeżeli nikt nie pyta co produku- jecie i czy macie czym produkować, a sztywno ustala się zasady ograni- czeń dopływu prądu, to tym co sto- jąć przy nieczynnych liniach brak nie chęci do pracy, ale po prostu o ich chęciach ktoś nie pomyślał.

Dziennikarz nie zawsze ma rację. I wtedy kiedy patrzy na życie przez różowe okulary, i wtedy gdy wy- chodzą mu spod pióra same czarne- kleksy. Ale dziennikarz musi mieć prawo do refleksji, do krytycznych przejrzań. I jeżeli to robi, uru- chamia właśnie rezerwy dobrego myślenia.

JERZY BIELECKI



**W DNIU 5 LISTOPADA 1980 r.** od- było się w Łomży inauguracyjne po- siedzenie Tymczasowego Międzyzak- ładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”. Uczestnicy po- informowali o sytuacji w poszczególnych zakładach. Po uformowaniu składu TMKZ ustalone zostały wnioski pod adresem administracji województwa. TMKZ zwrócił się do wojewody z prośbą o przydział lo- kalu wraz z telefonem, udostępnie- nie małej poligrafii oraz łamów ty- godnika „Kontakt”. Już następnego dnia wojewoda łomżyński Jerzy Zientara przyjął delegację TMKZ obiecując wszechstronną pomoc.

W sobotę 8.11.1980 r. w klubie „Bonar” przedstawiciele Tymczaso- wego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego oraz reprezentanci Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność” z dalszych zakładów spotkali się z członkami Prezydium NSZZ „Solidarność” region „Mazowsze”. W celu usprawnienia działal- ności nowych związków na terenie województwa łomżyńskiego postano- wiono przekształcić TMKZ w Tym- czasowy Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” — region „Mazowsze” okręg „Łomża” z prawem dołączania do dalszych organizacji z zakładów województwa łomżyńskiego. Powoła- no także tymczasowego przewodni- cącego, którym został Bogusław Baranowski z WSS „Społem” (tech- nik, lat 30) oraz Prezydium. Za pod- stawowe zadanie uznano przygoto- wanie do wyborów władz związo- wych w zakładach, zbieranie postu- latów oraz pomoc w organizowaniu NSZZ „Solidarność” tam, gdzie pra- cownicy będą sobie tego życzyli.

**W RAMACH** OBCHODÓW 63 rocznicy Rewolucji Październikowej



Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności doznałem złamania kości prawej dłoni i udałem się do Przychodni Ortopedycznej przy Szpitalu w Wiosna br., będąc zmuszonym do skorzystania z pomocy ortopedy, zdarzyło mi się oczekiwać na przyjęcie od godz. 9.00 do 18.00. W międzyczasie upłynęły godziny przyjęć i pomocy udzieliło mi dopiero Pogotowie Chirurgiczne. Tym razem jednak żywiłem nieśmiałą nadzieję, że proces odnowy choćby odrobinę przyspieszy na poprawę stylu pracy tego Szpitala; sprawniejsza jest obsługa pacjentów, skąpo wydzielone godziny przyjęć wykorzystane są bardziej racjonalnie, a w poczekalniach stoi trochę więcej krzeseł. Spostrzeganych zmian jednak nie dostrzegłem. Przed gabinetem ortopedycznym, niestety, taka sama jak zwykle wielka gromada zasępionych, stojących ludzi i absolutny bałagan w kolejności ich załatwiania. Niektórzy wyrażali gorzko, że stoją od wczesnego rana, a przyjęci przez lekarza zostali ci, którzy przyszli o wiele później. Około godz. 14.00 — niespodziewanie, lekarz-ortopeda wyszedł na obiad. Powodrowałem wtedy do dyrekcji Szpitala z zapytaniem, czy wiadomo jej o takich praktykach. Na moje pytanie, czemu nie czyni tego po godz. 15.00, otrzymałem odpowiedź, że wtedy na obiad w stołówce szpitalnej jest już za późno. Mając zastrzeżenia do takich wyjaśnień poprosiłem mego rozmówcę o podanie nazwiska. Niestety, podkreślił tylko, że jest dyrektorem i nie przedstawił się. Z tego, co usłyszałem, wywnioskowałem, że istotnie głodny lekarz nie miał innego wyjścia, niż przerwanie na pół godziny tak krótkiego okresu przyjęć. Co gorzej — w ślad za głodnym lekarzem na obiad pośpieszył także specjalista od gipsowania, co znów, przyczyniło się do zwłoki w pracy Przychodni. Trudno mieć pretensje do pracowników Szpitala, że są głodni i że muszą stosować się do niedostatecznie przemyślanego rozkładu wydawania posiłków w miejscowej jadłodajni. Trzeba mieć natomiast pretensje do dyrekcji, że takie niedociągnięcia zdają się jej nie przeszkadzać. Warto także zobowiązać personel pielęgniarski do ścisłego przestrzegania właściwej kolejności załatwiania pacjentów. Tajemniczy pan dyrektor X powinien wręczcie uświadomić sobie, że tendencja do przesadnego zatajania, co się da, łącznie ze swoim nazwiskiem (którego wierz, nie ma powodu się wstydzić) od paru miesięcy wyszła z mody i aktualnie jest wszędzie niemiłe widziana. Zamiast dumnie najeżać się na wnoszącego zażalenie pacjenta, lepiej zadbać o wyposażenie poczekalni Przychodni Ortopedycznej w większą ilość krzeseł, gdyż nawet dyrektorom może zdarzyć się, że przyjdzie postać kilka godzin ze złamaną nogą.

JERZY ĆMIELEWSKI  
Łomża

\*

Jestem stałym czytelnikiem Wąskiego tygodnika i chciałbym za pośrednictwem redakcji serdecznie podziękować w imieniu własnym oraz kolegów rencistów i emerytów za radość sprawioną nam przez Zarząd Gminnej Spółdzielni w Nowogrodzie, który w dniu 22 października br. zorganizował nam Dzień Seniora. Wszyscy byliśmy obecni na tej imprezie i cieszyliśmy się bardzo, że mimo, przy suto zastawionych stołach, mogliśmy spędzić czas.

JAN ŻYLKO  
Nowogród

\*

Czytelnikom, którzy telefonowali do redakcji, zwracając naszą uwagę na błąd w podpisach pod zdjęciami Adama Chętnika i Bohdana Winiarskiego („Kontakty” Nr 19) dziękujemy. Rzeczywiście, chochlik zamienił fotografie w ten sposób, że zdjęcie „Adam Chętnik (...)” przedstawiło Bohdana Winiarskiego i odwrotnie. Za pomyłkę przepraszamy.



W Bybytkach był kiedyś dwór. Dziś tam, gdzie stały zabudowania folwarku — rośnie trawa. W krzaczastych bzach wieża komina — ruiny dworu. Najlepiej zachowały się czworaki, chociaż ich ściany ulepiono z gliny.

## z gromnicą w rękę

Jednak czas i tu zrobił swoje. W kilku miejscach zawalony dach, okna z futrynami wyjęte, brakuje drzwi. W czworakach mieszka tylko Tomczukowe. Inni wyprowadzili się już dawno. Ziemię oddali za rentę albo na skarb państwa. Przenieśli się do miast, zbudowali własne domy. Pewnie już zapomnieli o życiu w czworakach. Tomczukom nie udało się stać wyrwać. Zabrakło zdecydowania, zaradności, szczęścia.

Zostały same kobiety. Czesława z dwunastoletnią córką Agatą i jej teściową — staruszką. Czesława rządzi pieniędzmi, prowadzi gospodarstwo; właśnie wróciła z miasta. Chciała kupić dziecku buciuki, ale nie dostała. Krzątając się przy kuchni opowiada o swoim życiu ze spokojem człowieka, który pogodził się z losem.

— Przestrzegali mnie w domu, żeby nie wychodziła za mąż. Ale chłopak tak mi się podobał, że powiedziałam sobie: wola Boska. Zamieszkałyśmy u teściowej. To były lata czterdzieste. Nieszczęścia zaczęły się od samego początku. Troje dzieci zmarło nam, jedno po drugim. Mąż z rozpaczy chciał rzucić się pod pociąg. Chcieliśmy wziąć na wychowanie czyjeś dziecko, ale teściowa ostrzegła: „Nie bierz cudzego, bo tobie nie podziękują”. Na szczęście urodziła się Agatka.

Agatka jest uczennicą piątej klasy. Z nauką nie ma właściwie kłopotów. Może trochę z rosyjskim. Wiersz powiedziała na piątkę, ale dyktando poszło jej słabiej. Lekcje odrabia na kulistym, wielkim kufrie. Nie ma własnego stołu. Toteż gdy przychodzi jej narysować w zeszyte prostą linię — manipuluje linijką, przekładając ją w różne strony. Musi się jednak spieszyć. W domu nie ma elektryczności, a zaparowane, małe okienko daje niewiele światła.

— Jak przychodzi ze szkoły zaraz gonię ją do odrabiania lekcji. Po-

tem po ciemku męczymy się obie. Teraz o świcie bardzo trudno, wszystkim już wypaliłam. Nieraz więc stoję nad Agatką z gromnicą w rękę i pilnuję. Lepsza byłaby lampa, ale nigdzie nie mogę kupić nafty. W Wysockim Mazowieckim powiedzieli: „Pani nie wie, że tam, skąd naftę przywożą, teraz wojna się toczy”. Trochę w eskaerze dostałam, ale bardzo cuchnąca — boję się, żeby nas nie potruła. Najlepsza jest elektryczność, ale w czworakach nie chcieli założyć: — stary budynek — powiedzieli.

Chociaż w czworakach znajduje się więcej pomieszczeń, mieszkać można tylko w dwóch. Podłoga jest wyłożona tylko w pokoju, w kuchni klepisko — ubita czarna glina.

— Była u nas pani dyrektor ze szkoły, zastanawiała się jak nam pomóc. Z opieki społecznej też byli. Pojechałam z soltysiem do naczelnika. Mówi, że nie opłaci się im budynku remontować. Radził, abym sama załatwiła dach. Ale jak to zrobić, przecież tam nie wejść. Dawno chciałam kupić domek. Nie żadne tam luksusy, wystarczy mi drewnianek, niechby ze dwie izby były. Takie plany miał jeszcze mąż. Ale przebiegał. Wybrał jeden, ugodził się, a później zrywał, bo dowiedział się o drugim w innej wsi. Teraz ludzie budują nowe, murowane. Wiem, że w Kaczynie jest gospodarz, który chce sprzedać drewniany domek, za 25 tysięcy. Powiedział nawet, że może mi przywieźć go, na takiej dużej przyczepie. „Pani rano obudzi się, a domek będzie już stał” — tak mi obiecuje.

— Ale ja nie mam tych pieniędzy. Niełatwo jest zebrać taką sumę. Sprzedam prosiaka, wezmę chociażby pięć tysięcy. Ale szybko ozejdą się. Węgla trzeba kupić, w eskaerze zapłacić. Prosiłam naczelnika o pożyczkę, odmówił. Boi się, że nie będę miała z czego spłacić. A przecież mam ziemię, pięć hektarów. Ziemia nawet po państwowej cenie ma swo-

ją wartość. Można ustanowić hipotekę. Jak nie dam rady spłacić, to mogą ziemię zabrać. Tych pieniędzy nawet nie chcę widzieć. Od razu mogą gospodarzowi zapłacić. Upatrzyłam sobie miejsce na postawienie domku. Mam siedlisko, postawiłam już na nim stodołę. Ładnie pasowałyby.

Nie wierzą, że spłacę pożyczkę, ale przecież co urosnie — to państwu sprzedam. Mam krowę, oddaję mleko, buraki cukrowe też sprzedaję. W tym roku nie będzie tego wiele, ale tak jest u wszystkich. Liczyłam, że tymi burakami trochę podrepuję się. Jednak było za mokro, nie wyrosły. Żebym chociaż odszkodowanie dostała. Owszem, po pierwszej lustracji przyznali, ale później, gdy przyjechali z PZU, cofnęli decyzję. Może udałoby się chociaż trochę uratować, ale kto je wykopie? Przecież tylko ja mogę pracować. Babcia ma siedemdziesiąt lat. Pójdzie ziemniaki kopać, pogrzebie w ziemi i płacze, bo nie daje rady. Mnie szkoda jak się coś na polu marnuje. W tym roku kosiłam zboże kosą. Powiedziałam, że przechoruję, a nie dam zgnić. Mogę się pochwalić. U niektórych gospodarzy, mężczyzn zostało na polu, a ja wszystko zebrałam.

Czasem mam taką myśl, żeby to wszystko rzucić i wyjechać. Kupić sobie dom, żyć jak inni ludzie. Zapewnić dziecku lepsze warunki. Gdybym sprzedała ziemię uzbierałoby się ze sto tysięcy. Ale co dalej? To za mała suma żeby zbudować dom albo kupić mieszkanie. Gdzie pracować? Myślałam też, żeby wyjść za mąż. Wtedy musiałabym zostawić to wszystko. Żal mamusi. Ona nie przeżyłaby tej sprzedaży ziemi. Nie chce też iść do obcych ludzi. Tylko do mnie ma zaufanie. Przywiązana jest do tego miejsca. Gdzie indziej nie mogłaby żyć.

WIESŁAW KOŁOWSKI  
Fot. GABOR LÖRINCZY

co u państwa słychać?





W latach następnych powtarzała się opinia niepoczytalnego rozrabiacza. Zmieniały się co prawda czasy, więc pan Stasio nie bronił już kulaków, lecz „szumowiny, wicherzycieli, nierobów”, ciągle przy tym nastawał na władzę ludową, na jej najlepszych, najrzetelniejszych, oddanych ludowi przedstawicieli. Zazwyczaj też sugerowano nieduw znaczenie, że czyni to jedynie we własnym, prywatnym interesie czy za łapówki. Dziw bierze, że po tylu zarzutach, o których skwapliwie informowano prokuratorów, pan Stasio chodzi jeszcze wolny po ziemi i może delektować się porcją zwyczajnej na gorąco, popijanej, żywieckim. Może dlatego, że nauczył się ostrożności? Zdarzyło mu się kiedyś badać skargę robotników leśnych. Mimo że w lesie trudno o sklepy, pan Stasio nie przyjął poczęstunku robotników i po całym dniu, spędzonym na rozmowach z nimi, powędrował wieczorkiem o suchym pysku 18 kilometrów do stacji kolejowej.

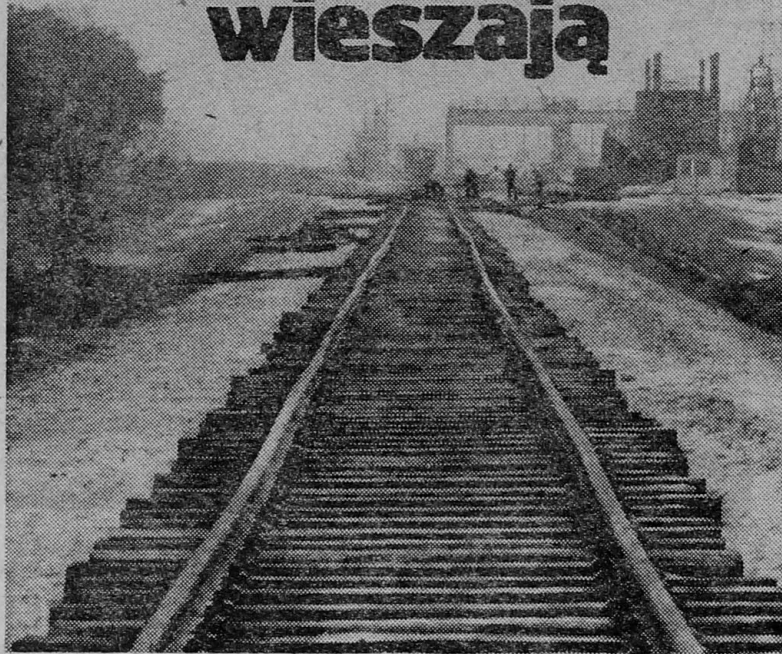
Taka ostrożność nie uchroniła go jednak od śledztwa wdrażanego kilkakrotnie z urzędu, ale ostatecznie prokuratorzy nie dopatrzyli się przestępstw w jego działalności. Używali natomiast do woli „na rozrabiaczu nie piastującym żadnego stanowiska, więc nie mogącym nikomu nie zrobić” (znowu cytuję z wypowiedzi urzędnika średniego szczebla), jego przeciwnicy. Z kilkunastu lat pracy dziennikarskiej na palcach jednej ręki można by policzyć te kilka spokojnych, w których nikt nie nękał go procesami.

O tym wiedziałam. Ostatnio chodziły po redakcji słuchy, że Stasio ma aż trzy procesy. Jeździł na rozprawę aż na kraniec Polski. Wracając struty, do nikogo się nie odzywał. „Chyba przegrał” — domyślał się koleś, bo na pytania nie odpowiadał. Nie przyjął adwokata pracodawcy, nie chciał zwrócić się o pomoc do Stowarzyszenia Dziennikarzy. Nie żartował, jak dawniej, z dziewczynami pracującymi w jego pokoju. Nadal jednak przyjmował interesantów. Przyjeżdżali chłopcy w baranich czapkach i grubych kurtkach, z teczkami wypchanymi jedzeniem na cały dzień i pakietami akt, które należało przeczytać po kolei, rozplatać popłatane, aż do zupełnej jasności i porządku, gdzie iść, jak argumentować, na kogo liczyć. Przychodziły zaleknione kobieciny o sękach, niekobięcych rękach i twarzach z charakterystycznymi dla ludzi pracujących na otwartej przestrzeni zmarszczkami, ostro wyżłobionymi w twardej, nie wiotcejącej z wiekiem skórze. Siadały na brzęczku taboretu stojącego naprzeciw biurka i zaczynały opowieści, które zwykle zamieniały się w lament i płacz.

Pan Stasio trwał na pozór nieporuszony, grzebał w przedstawionych papierzykach, pytał o jakieś daty, o zdarzenia i ich przyczyny; do młodszych mówił „pani”, do starszych „wy”, aż uspokoiły się, powycierały oczy i nosy w chusteczki wygrzebywane z głębokich kieszeni, a na odchodnym dziękowały „panu redaktorowi” (obce słowo, z trudem wychodziło z ich ust), który taki dobry, taki swój i ludzki. Niektóre chciały płacić, niektóre wyciągały z koszyków jajka... „Zanieście to dzieciakom” — mówił pan Stasio, gramoląc się zza biurka wepchniętego w kąć i odprowadzając kobiety do drzwi.

Znałam zatem terazniejszość, dobroduszną, mało piszącą, może podszytą skrywanymi kompleksami wobec młodych i rozpędzonych, inaczej kształconych i kształtowanych, ku innym celom spieszących. Teraz, w miarę czasu spędzonego nad pozostawioną mi dokumentacją, rysował się inny

## krzyże na łotrach wieszają



obraz — portret buńczucznego nonkonformisty, zapalczywie walczącego o prawdę w urzędzie, w sądzie i na łamach gazety, w której jego artykuły były umieszczane w czołówkach numerów. Z jego zaś dowiedzi, nadspodziewanie chętnie mi udzielanych (pierwszy raz ktoś zechciał pochylić się nad jego losem, rozplątać jego niebanalne meandry, próbować je zrozumieć), spływały żywe, czyste kolory, nasycające ten portret mierzonym życiem.

— Chodziłem z delegacjami chłopów do najwyższych urzędów. Dyrektorzy przed nami uciekali, a my za nimi; łapaliśmy ich w drzwiach. Narady różne były organizowane, sprawa wałkowała się od paru lat. Przechodziła z samego dołu do góry i z powrotem, do tej samej instytucji, która zawiązała i która miała niby naprawiać. Więc zaowu do góry. Odwołał mnie kiedyś prokurator na bok: „Panie Kalembo, niech się pan z tego wycofa, sam pan widzi, jak oni tu wszystko zagmatwali. Tego nikt teraz nie rozpląta”. Ja na to, że pójść najwyżej i zniszczyć ten fałsz. Poszedłem. Tak byłem wtedy zdenerwowany, że nie zauważyłem szklanych drzwi i wpadłem w nie z całym rozpięciem. Dzień był upalny, wesół; słoneczny, ludzie weseli. Zasłaniałem twarz ręką, żeby nie widzieli, że na jasne ubranie spływa krew.

Rzecz sprowadzała się do tego, że tuż po wojnie chłopcy z powiatu N. rozdzielili między siebie grunty poniemieckie, nie otrzymali natomiast oficjalnych aktów nadania. Sporządzono je dopiero w latach 1955—56, w dość szczególny sposób. Jeden z obrotnych urzędników powiatowej rady odbierał ziemię biedniejszym, zapisywał natomiast tym, którzy mogli mu się odwdziżyć. Zanim Kalembo napisał artykuł, interweniował w powiecie. Gdy to nie poskutkowało, wystosował, wspólnie z chłopami, zażalenie do WRN-u, potem do „Fali-49”. Wielekroć jeździł do N., godzinami wyczekiwał pod drzwiami prokuratora, szukał sprawiedliwych w radach narodowych i mi-

nisterstwach. Podporządkował tej sprawie swoje prywatne życie, o rok opóźnił ukończenie pracy magisterskiej. Zaangażował swoje sumienie obywatelskie i dziennikarskie, by sprawiedliwość zwyciężyła.

A we wsi toczyły się bójki między starymi i nowymi posiadaczami działek.

Kalembo wydawał się nie wyczerpany. To raczej urzędnicy byli zmęczeni i zmęczeni naradami, wyjazdami w teren, udziałem w komisjach. Komisje docierały zazwyczaj do powiatu i wracały, ugłaskane okragłymi zdaniem. „Jak to młody, nieodświeżony dziennikarz może narozrabiać” — stwierdzili członkowie jednej z nich, którzy dojechali najdalej w teren, na podwórko sołtysa. Nawiasem mówiąc, dziennikarz nie był tak bardzo nieodświeżony, a jeśli chodzi o wiek... No cóż, stuknęła mu wówczas czterdziestka.

Pan Stasio dotarł jednak do człowieka, który znalazł sposób na rozplątanie tego węzła gordyjskiego. Jeden z wysokich funkcjonariuszy partii polecił po prostu dokładnie i od samego początku zbadać sprawę. Gdy okazało się, że rolnicy mieli rację, cofnięto dotychczasowe decyzje, regulację przeprowadzono od nowa, a obrotnego urzędnika ukarano.

Kilkuset rolników odbudowało swoją wiarę w sprawiedliwość, zaś pan Stasio zdał opóźniony egzamin magisterski i zabrał się do budowania domu. Najpierw wykonał formę do odlewania pustaków i zrobił ich tyle, ile było potrzeba na solidny i obszerny dom dla nich dwojga i czwórki ich dzieci. Gdy pustaki schły, zabrał się do kopania fundamentów. Potem murował. Sam przygotowywał zaprawę i sam ją sobie podawał. Potem postawił krokiew i przykrył dachem.

Murarka i cieślarka były w jego rodzinie umiejętności tak przyswojonymi, jak orka i siew. Znacznie trudniejsze do wykonania okazało się przedwojenne marzenie Stasia: żeby choć dwie klasy gimnazjum! Ojciec po prostu nie zwracał uwagi na rojenia syna. Miał

cztery hektary nadnarwińskiego piasków i osiem gęb do wyżywienia osiem pleców do przyodziania, osiem par nóg do obucia. Stasio postanowił choć do szkoły podoficerskiej dostać. Ale nie zdążył — poszedł na front łomżyński.

Po wojnie ludzie mówili: „Stasio, zezre” i doradzali, żeby dwóm braci, którym mina niemierci oderwała stopy, wysłać na zesłanie. Przynajmniej o zarcie dla nich nie będzie trzeba się kłopotać. Bracia inwalidzi postanowili się jednak uczyć. Młodszy terminował u młodego lekarza, a starszy — u starszego. Drugi skończył tę samą, co pan Stasio, skróconą szkołę średnią, a potem SGPiS.

Stanisław Kalembo po ożeniu zmienił plany. Postanowił zostać porządnym rolnikiem. Reforma rolna rozpalila wtedy niejedną głowę. Wydzierżawił dziesięć hektarów odłogów i uprawiał je przez kilkanaście lat, a gdy uznał, że ta ziemia wreszcie zaczęła mu odpłacać, okazało się, że jest kulakiem. Często gościem w jego domu stał się kłopotliwy młody człowiek, który w młodości był młodziakiem. Pan Stasio zrezygnował z dzierżawy, choć jeszcze nie z wody. Wziął do obrotu pięć hektarów, które dostał z reformy rolnej, a z pozostałych trzech — z reformy rolnej. Lecz i tym razem nie miał szczęścia. Organizatorzy spółdzielni produkcyjnej, nie przejmując się zbyt zasadą dobrowości, włączyli do niej grunty parcelacyjne; nie pozwolili nawet ich dotychczasowym użytkownikom zebrać plonów.

— Nie pogodziłem się wtedy fałszem. Szukałem sprawiedliwości i w powiecie, i województwie. Tymczasem mi, że słuszny cel osiągnęli. Dotarłem nawet do dyrektora departamentu w ministerstwie rolnictwa, który sam mi powiedział, że usłyszałem to samo. Rzucałem wtedy na jego stół legitymację ZMP. „Będę okłamywał młodzieży, bo statucie co innego jest napisane”, powiedziałam. On się pewnie bardzo tym nie przejął, ale dla mnie było to bolesne.

Podkreślił ostatnie słowo. Po niej milczał i grzebał w swoich papierach. Wreszcie wyjaśnił: — Pójść do gospodarki prowadzonej przez wiejskie hufce Służby Polsce, to było moje miejsce. Po roku zostałem inspektorem przysposobienia rolniczego (bo uczyłem się zaocznie Liceum Rolniczym) w Komendzie Powiatowej SP. Do ZMP należałem od początku, wierzyłem... to była organizacja dla takich, jak... niełatwo było rzucać legitymacją. Ta się stawiała — poprawił — to stawiała na jedną kartę. Ale to nie dało. To dało!

Znowu podsunął mi plik pism z Firmówki z postrzępionymi brzołami znanego tygodnika wiejskiego, urzędowe odpowiedzi. Wśród nich decyzja o przywróceniu poszkodowanym zagarniętych plonów i ukaraniu winnych.

O terenowych korespondentach słyszała pani? — zapytała mnie wcześniej jego była redaktorka naczelna.

— Słyszałam na studium dziennikarskim.

— No właśnie, teraz to już historia, a wtedy żadne pismo nie mogło bez nich istnieć — powtórzyła redaktorka, która jako dwudziestokilkuletnia dziewczyna kierowała poważnym piśmem. Moja wizyta sprowadziła na nią trochę nostalgiczne wspomnienia młodości, dokonanych tamtego okresu, związków działających na jej życie i ludzi; też szereg twarzy przesuwał się teraz przed oczami. Przychodziła sama do redakcji, redakcja ich od niej krywała, zapraszała i ścigała z dalekich stron, spośród korespondentów terenowych między innymi.

— Kalembo był właśnie takim korespondentem. Zgłosił się do redakcji, gdy zamieszkał w Warszawie. Powierzyłam mu odpowied-







## nagle zaczęli słyszeć

Mówią IRENA RYDELEK i ZOFIA STACHELSKA, pracujące w kolneńskiej „Morenie” od 1964 roku:

— Może ten cały strajk i nie był potrzebny. Ale jak chodziło się przedtem do kierownictwa w jakichś sprawach, to nic się nie dało załatwić. Tu przepis, nie można obejść, tam trudności obiektywne, zarządzenia. Natomiast gdy doszło do strajku, to jakby balon pękł i nagle zaczęli się nam uważnie przysłuchiwać i wszystko słyszeć. Okazało się, że możemy już i kupić to co szujemy, wieloletnie otrzymały zapomogi po 1,5 i 2 tys. zł, wszystkie dostałyśmy piękne fartuchy. Postulujemy teraz o wprowadzenie nagród jubileuszowych za 15 lat pracy. Ale to już nie zależy tylko od naszego kierownictwa, ani od dyrekcji przedsiębiorstwa w Bartoszycach.

— Jak poszłam ostatnio do prasowania (idziemy do tej pracy kolejno wszystkie ze szwalni) to chcieli mi płacić tyle, ile płaci się na niezawinionym postoju (brak prądu, surowca). Powiedziałam: nie! Ma być zapłacona przeciętna zarobków. Będę pracować co siłą, ale nie za postojowe. I zaraz się zgodzili.

— Dobry kierownik powinien być bardziej dostępny dla ludzi. Żeby wysłuchał, załatwił co można od ręki, żeby więcej wychodził do załogi, bo inaczej rozmawia się w grupie, a inaczej na osobności. Nasze kierownictwo pod tym względem nie jest złe. Inni gorzej mają.

— Dyscyplina w zakładzie musi

— Dyscyplina w zakładzie musi być, u nas np. nawet minuty nie ma prawa się nikt spóźnić. Nie ma wyjątków dla nikogo i to jest dobre. Dyscypliny nie można popuścić, np. przez jakiś czas stoimy, bo nie ma surowca i marnujemy

**NINA OMELCZENKO**



# musze zmienić styl

Kierownik Zakładu Przemysłu Dzierżawskiego w Kolnie, JAN RYS-KIEWICZ: Rola kierownika jednostki filialnej nie jest „ciekawa”. Nad sobą mam ministerstwo, partię, zjednoczenie i przedsiębiorstwo. W zasadzie pozostaje mi tylko wydawanie zarządzeń co do sposobu wykonywania planu. Nawet angaże i płace muszę uzgadniać w Bartoszych. Trudno jednak, żeby załoga miała pretensje do zjednoczenia lub ministerstwa a nie do mnie, bezpośredniego szefa. Załoga wie, że ja najwięcej zarabiam i ma prawo ode mnie wymagać, żeby w zakładzie wszystko grało.

W ub. roku mieliśmy pokrycie materiałowe w 80 proc. Plan jednak wykonaliśmy tylko i aż w osiemdziesięciu sześciu proc. Zaoszczędziliśmy 10 ton surowca, co pozwoliło nam dać te sześć procent ponad możliwości wynikające z zaopatrzenia. Ale planu przecież nie wykonaliśmy. Wiele osób nie dostało premii. Czy to sprawiedliwe?

tylko czas. Później trudno ludzi przekonać, że ich 10 minut spóźnienia rzeczywiście zasługuje na karę. U nas nie było takich przypadków, że kierownik ukarał, a my uznaliśmy to za niesłuszne.

— Nie ze wszystkim jest jednak tak różowo. Jak 16 lat pracuję na jednym stanowisku to należy się jakaś nagroda, podziękowanie. Niechby choć kto wyjaśnił jak to jest — należy się czy nie? A może w Bartoszycach ten jubileusz obchodzi a tylko u nas nie? —

— Nasza praca jest ciężka. Niedługo się wydawało, że tyłek taki posadziła i ma spokojnie. A to nieprawda. Nogi nam wszystkim po kilku latach wysiadają, bo przecież cały czas są w ruchu. Rece też — większość skarży się na stawy. Każdy by chciał, żeby ten dodatek w wysokości 640 złotych był w osobnej rubryce, a nie tak jak nam dali, że dostaje tylko ten, kto normę wyrobia. Najgorzej jest latem, bo człowiek się poci, a wentylacji nie ma, duszno. To się drzwi otworzy, przeciąg i gotowe przeziebienie.

— Mamny problem z tym, że nie możemy wyjść w czasie pracy do kiosku „Ruchu” (stoi naprzeciwko bramy zakładu) i nawet proszku do prania nie można kupić. A teraz, co się pojawiło to trzeba „łapać”. A gdyby ten kiosk przenieść, żeby można było kupić w nim, nie wychodząc z terenu zakładu? Albo nam dostarczać te podstawowe środki chemiczne?

— Po tych wydarzeniach, to jakby ci z kierownictwa większy szacunek dla nas mają. Ale czy to się utrzyma?

stia stawiana w czasie obrad sejmowych: — Czy zadania na rok przyszły złożyć na miarę możliwości, czy też ponad i starać się je wykonać? W planowaniu zadań kierownik zakładu się nie liczy. Rozlicza się go natomiast z wykonania zadań.

U nas straty nie byłyby tak duże, gdyby nie ściśle uzależnienie od Bartoszyce. Całe zapotrzebowanie dostajemy od nich. Dobrze, jeżeli mamy zapas, na trzy dni. Kilkaście godzin po stoju można szybko nadrobić. Albo Bartoszyce stały 12 dni. Oznaczało to dla nas brak surowca, a co z tym idzie — postój. Mimo to poradziliśmy sobie. Działanie załatwilem przez znajomych z Łódzkiej „Bistonu”. Więcej kłopotu było z gumami. Nie znaliśmy przecież kooperantów Bartoszyce. Trzeba było przegadać meki i faktury. Telexy, telefony. — Mielśmy, ale już nie mamy. — Wszystko pobrane. — Zakład stoi.

Oprócz problemów związanych produkcją należało jeszcze łagodzić nastroje. Ludzie byli wzburzeni. Chcieli zmian, nie zawsze słusznego. Uważałem, że wszystkim należy dać szansę obrony, że nie może być anarchii.

Ja, dzięki Bogu, w zasadzie nie mam na co narzekać, bo wylądowałem nie najgorzej. Mówiono wprawdzie, że jestem strasznie nieprzystępny, ale w tamtej sytuacji i tak było to bardzo delikatne określenie. Zarzucano mi autokratyczny styl zarządzania. Nazwałbym go raczej dyrektywnym. Muszę go zmienić na demokratyczno-dyrektywny. Nie wolno obrażać sobie całkowitej demokracji w zakładzie. Należy wprawdzie wygadniać kolektywnie, ale nie przeciw kolektywnej odpowiedzialności, ponieważ jest to żadna odpowiedzialność. Ostateczną decyzję podejmuje dyrektor czy kierownik i się z niej rozlicza.

**DANUTA I ALEKSANDER  
WRONISZEWSKY**

samo na nią zareagują. Tymczasem winni zaczynają się bronić, przechodzą do ataku. Trzeba wówczas walczyć nie tylko o pokrzywdzonych, lecz o siebie samego. Prostownać, demaskować, wykazywać fałszystwa zainteresowanych, bezwład urzędów. Raz chodzi o złą wolę i ochranianie winnych, innym razem o błędne decyzje i lęk przed przyznaniem się do nich, a zwykle — o strach przed wysiłkiem. Zadziwiająco często idzie nie o załatwienie sprawy, lecz o zepchnięcie jej z własnego biurka. Nawet możliwość, że zaznaczy się dramatycznie na cudzym życiu. Urzędnicy! Specjalny rodzaj mechanizmów zaprogramowanych na unikanie aktywności.

**D**ziwiło mnie, że pan Stasio opowiadał o faktach sprzed kilkunastu lat z taką dokładnością, jakby miały miejsce przed kilkoma dniami. Podawał dokładne daty, imiona i nazwiska, określał miejsca, w których zostały wypowiedziane cytowane zdania.

— Wyuczylesz się na pamięć paru nazwisk i dat, żeby zaimponować koleżance — powiedział dziennikarz pracujący w jego redakcji, trochę żeby zdenerwować, trochę żeby usprawiedliwić wpakowanie się ze swoją kawą na wolną połowę naszego stolika.

Pan Stasio uśmiechnął się do-  
brakusznie, a ja zrozumiałam, dlaczego  
tak doskonale pamięta, dopiero  
wtedy, gdy w domu dokładnie  
przejrzałam jego pekatą teczkę.  
Znalazłam w niej niezliczone wer-  
sje tych samych tematów, maszyno-  
pisy niewydrukowanych materia-  
łów, notatki wyjaśniające, petycje,  
podania, odpowiedzi na akty oskar-  
żenia. Wśród nich kilkudziesięcio-  
stronnicowy zeszyt w kratkę, wy-  
pełniony piśmem odręcznym.

Zaczynał się tak: „Notatki tę piszę w domu jako człowiek prywatny, poszukujący sprawiedliwego rozwiązania sprawy. Nie piszę zaś w redakcji, gdyż wstyd mi po prostu maszynistki, mającej dość tej bezsensownej pisaniny. Wstyd mi dawać przez 15 miesięcy szaniste elaboraty, z których władze nie korzystają we właściwy sposób”.

— Jego bezkompromisowość graniczy z prostactwem — przypomniałam sobie opinię jednego z kolegów. — Mówię mu: nie pisz „ukradł”, lecz „przywłaszczył sobie”. On mi na to, że jestem hipokryta.

— Jego dobra wola! Daje się wra-  
biać w beznadziejne sprawy, jakby  
stracił instynkt samozachowawczy  
— mówił inny. — Ostatnie kłopoty  
zawdzięcza pewnemu pracownikowi  
centralnej instytucji, do którego  
przyjechali krajanie po pomoc. Ale  
ten nie był głupi. Zorientowawszy  
się, co to za sprawa, odesłał ich do  
Kalemby, „bo jeśli on nie pomoże,  
to nikt nie pomoże”. A Kalemba,  
jak to Kalemba, zwietrzył krzywdę  
chłopską i poszedł w bój niby koń  
kawalerski, któremu wystarczył  
głos trabki.

— On co parę lat się zarzeka, że już nie będzie głupi — dodała podwładna pana Stasia — i czego się przez ten czas nauczył? O, tyle! — pokazała figę.

— Redakcje bywają ostatnia instancja, gdy zawiodą wszystkie inne. Pracownicy działów listów załatwiają co rok tysiące spraw jednak gdy przychodzi narazić się samemu, Stasio jest jedyn! I o to robi nie dla pieniędzy, lecz z poczucia sprawiedliwości — oto opinia naczelnego.

— Proszę spojrzeć uważnie. — do  
radził ktoś. — Za kogo można by  
go wziąć w ulicznym tłumie?

Popatrzyłam: okrągła, pocziwa-  
-twarz, małe, bystre oczki, sumiast-  
-waś; figura - kępna, przysadzista  
-zwarta w sobie, przyobleczona w  
-szarą kurtkę „trzy czwarte”, z ko-  
-nierzykiem wytartym już nieco prz-  
-szwi. z wilczego bodaj futra.

— Za chłopą, oczywiście — podsumował — mimo uniwersyteckiego dyplomu.

Ostatnio Kalemba otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Zaraz potem stawiał się w sądzie na kolejnej rozprawie przeciwko niemu. Tam usłyszał od przeciwników, że teraz krzyże na łotrach wieszają.

---

Imiona i nazwiska występujących w r  
portażu osób zostały zmienione.

**ALICJA BAST**  
Fot. GABOR LÖRINCZ

**ALICJA BASTA**  
Fot. GABOR LÖRINCZY

narwiński  
wyżwien  
ziania, osi  
asio postar  
oficerskiej  
— posze  
mówili: To  
biaków bie  
żeby dw  
niemie  
na żebr  
dla nich  
otać. Bra  
się jedn  
ował u m  
ym szwe  
co pan S  
dnia, a po  
po oż  
nowił z  
Reforma  
jedną gł  
hektar  
przez kil  
ta ziem  
dplaców, ok  
em. Czest  
stał się k  
czygnwał  
ze nie z z  
u pięć hekt  
ę ZMP. M  
zieży, bo  
napisane  
nie pewnie  
ejał, ale d  
słowo. Po  
y swoich p  
jaśnił: —  
prowadzi  
y Polsce  
uku zosta  
zienia rol  
zacznie  
y Komenda  
P należał  
m... to by  
jak... ni  
ymać. J  
wił — t  
g. Ale to n  
i plik pism  
nymi bra  
a wiejskiej  
Wśród nie  
u poszkod  
onów i uk  
espondenta  
— zapyta  
tego była r  
dium dzien  
z to już h  
e pismo  
ć — powi  
a jako dw  
wczyna. M  
mem. Mo  
a nią ter  
cia młodo  
u, związk  
i ludzi: te  
wających  
Przychod  
kcja ich o  
ciągała z d  
responde  
innymi.  
taśnie takt  
t się do c  
w Warsz  
odpowied



możliwości decydowania — bez autentycznej demokracji we wszystkich organizacjach wiejskich. W każdej zbiorowości istnieje multum problemów niesionych przez życie, które muszą być rozwiązywane, jeśli zbiorowość ta ma się prawidłowo rozwijać. W tym celu organizuje swój samorząd. Musi on zajmować się sprawami na tyle ważnymi, by zachęcały, ba! — wytwarzały potrzebę społecznego organizowania się. Podkreślam to mocno, ponieważ dotychczas organizacje samorządne zajmowały się błahostkami. Administracja sprowadzała je do roli chłopca na posyłki: podaj, przynieś... uzurpując sobie decyzje w najważniejszych kwestiach wsi. W ten sposób samorząd stawał się atrapą. Często członkowie różnych komitetów spółdzielczych nie wiedzieli nawet, że zostali powołani, bo trudno powiedzieć wybrani.

#### NIECH NO TYLKO WYKOPIEMY KARTOFLE

**J. Randzio.** — Przed laty samorząd wiejski rzeczywiście działał zgodnie z potrzebami ludzi wsi. Jednak z biegiem czasu zaczęło się wszystko wypłukiwać.

**A. Piekara.** — Wiemy, za czym sprawą proces owego wypłukiwania odbywał się.

**J. Randzio.** — Mówiło się wprost: „Możecie sobie dyskutować, a my i tak bazę przeniesiemy, gdzie zechcemy, albo powołamy spółdzielnię kółek rolniczych”. Nikt nie pytał rolników, czy tego chce. Jakies tam założenia polityczne, ideologiczne. Bóg wie jeszcze jakie, dyktowały określone decyzje, a nie ludzie wsi, których one miały dotyczyć.

**A. Piekara.** — Dodam, władze, które w taki biurokratyczny i wolutarystyczny sposób decydowały o losach ludzi wsi, musiały wyczuć milczący sprzeciw rolników. Potwierdzała go bierność i atrofia organizacji samorządnych. Zresztą i my, naukowcy, przestrzegaliśmy przed konsekwencjami zamierania samorządu. Sporządzaliśmy raporty, dokumenty, ale władze wiedziały lepiej. Lekceważyły zbiorową mądrość wsi. Nie liczyły się też z głosami nauki.

**J. Randzio.** — Zniechęcenie rolników do samorządności, którą od pewnego momentu należało już ujmować w cudzysłowie, prowadziło do stanu pełnej apatii. Każdy z nas wiedział, że co byśmy nie urządzili i tak wiążące decyzje przyjdą z góry. W spółdzielniach tworzone szumne nazwy stanowisk: już nie prezes, a pan dyrektor. Jeśli trafiło to na jakiegos prostaka umysłowego, to biuro dyrektorskie przeszkadzało mu w bezpośrednim kontakcie z rolnikami. Posługiwał się najczęściej kawałkiem zapisanego papieru, na którym czerwieniła dyrektorska pieczęć. Rolnicy nie liczyli się. Władza stawała się jeden człowiek. Kto wie, czy nie należy rozpocząć reformy od likwidacji tej przesadnej tytułomanii. Trzeba byłoby też przechrześć i same spółdzielnie kółek rolniczych.

**L. Gizelbach.** — Byłby to dopiero początek zmian, które muszą sięgnąć głębokich struktur organizacyjnych. Na to zdają się wskazywać liczne głosy, dziś jeszcze w rozproszeniu.

Stanisław Murawski

Na jednym z wiejskich zebrań usłyszałem niedawno: „Wiesz spokojna, wiesz cierpliwa? — poczekajta, niech no tylko wykopimy kartofle”.

**St. Murawski.** — Spółdzielnie kółek rolniczych, bez względu na nazwę, trzeba zachować. Są tam warstwy, które powinny dalej służyć rolnikom. Sprzęt natomiast należy oddać w zbiorowe posiadanie wsi. W mojej gminie wybudowano niegdyś cztery międzykółkowe bazy maszynowe. Jest zaplecze, są garaże. Obecnie hoduje się w nich trzodę chlewną, bo sprzętu nie ma. Jest to najdroższy tuc. Może powrócić do tego, co niegdyś było: przy reaktywowanych bazach powołać samorządy sprawujące nadzór obywatelski nad ich działalnością. Powie ktoś: takie przedstawicielstwa rolników istnieją przy spółdzielniach kół-

trzaś całą wsią, miał wysoką rangę i uznanie w środowisku. Potrafił znaleźć dla siebie miejsce, ważną misję społeczną nawet w czasach zaborów. A ostatnimi laty, gdy powszechnie mówiło się o wspaniałych wręcz warunkach jego rozwoju, tak podupadł, że jest niewidoczny. Zjadła go biurokracja.

**St. Murawski.** — Możliwe. Ludzie muszą mieć przede wszystkim realny wpływ na podejmowane decyzje. Dlatego musi stać się codzienną praktyką: zaden głos nie pozostawiony bez odpowiedzi. Wtedy ludzie poczną, że władza i urzędy liczą się z nimi. I to może odbuduje samorząd. Rolnicy zbyt cenią swój czas, aby na zebraniach bywać tylko dla frekwencji.

**E. Kapusta.** — Jeszcze osiem,

niedobrego czasu, iż prezes Wydziału Gospodarki Żywnościowej KW PZPR, prezesem Rady Nadzorczej Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mleczarskiej — kierownika Wydziału Gospodarki Żywnościowej WK ZSL, a prezesem WZK obecnego tu wojewodę Redlińskiego? Takie same paradoksy mamy w innych organizacjach spółdzielczych, rzekomo samorządnych, zarówno w gminie, jak i w województwie, także w centrali.

**W. Redliński.** — Informuję, że w najbliższym plenarnym zebraniu Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych zrezygnuję z prezesa Rady. Dodam, że tam się nie pchałem.

**St. Murawski.** — Czy to wpływa na dzisiejszą dyskusję?

**W. Redliński.** — Nie. Decyzję podjąłem wcześniej.

**A. Piekara.** — Czyli, że pan wojewoda był tam postawiony, a mówiło się: „wybrany”.

**W. Redliński.** — Od paru lat mamy w ogóle rozregulowane życie społeczne i gospodarcze. Teraz widzimy to w całej jasności. Stało się mnóstwo postulatów. Dotyczy to również wsi. Ja bym za wszystkim co tam zle, nie obarczał samorządu — nie tak małego przecież grona społeczników, którzy próbowali coś zrobić. Pod szyldem oficjalnego samorządu czy też nieoficjalnie wykorzystując swój autorytet we wsi organizując ją. Ale na ich działalność kładł się cień spraw szerszych, pozawsiowych. Błędy ekonomiczne, administracyjne w kierowaniu gospodarką chłopską. Zarzucał imy w tej dziedzinie takie metody, jak mądra ekonomika, oświata rolnicza.

**A. Piekara.** — Wyparł je system dyktów.

**St. Zieliński.** — A gdzie nakaz tam już kończy się samorządność?

**L. Gizelbach.** — Jakiej jest wię pole dla samorządu?

**W. Redliński.** — Pan Murawski mówił o potrzebie decentralizacji kółek. Z tym można się zgodzić albo nie. Rozrzucenie sprzętu powsiach — jest to jakaś propozycja. Trudno nie wziąć pod uwagę zdania rolników, aby mogli oni decydować o rozdziale maszyn. Przypadnie na wieś jeden ciągnik — niech więc zbiorą się i zdecydują, komu go dać. Ale czy to nie skłóci wsi? Proponowaliśmy już, np. rolnikom zajęcie się rozdziałem cukru dla pszczelarzy, ale natrafiliśmy na duży opór. Nie było wielu chętnych, by wziąć na siebie odpowiedzialność. Gdy zaczyna wszystkiego brakować — to i decydowanie staje się coraz trudniejsze.

#### WSZECHWŁADNA ALE NIE WSZECHMÓGĄCA

**L. Gizelbach.** — Jak dotychczas samorządność istnieje sobie a władze wykonawcze sobie; nie ma partnerstwa i współpracy. Administracja stała się wszechwładna choć niestety, nie wszechmögąca. Mamy krzywdzące rolników przepisy, na straży których stoi, właśnie, administracja. Np. na dziecko rolnika przysznaje się jeden kilogram cukru, a na dziecko miejskie — dwa. To

## demokracja bez kworum

lek rolniczych. Tak? Są tam rady, ale niczego nie nadzorują. Nawet przy oczywistych nadużyciach kierownictwa spółdzielni, samorząd przecież był bezradny. Nie mógł karać, egzekwować. Wiem dobrze, jak to funkcjonowało, gdyż przez lata zasiadałem w takiej radzie. Czulem się — jak kukła, która nikomu nie wadzi, ale i niczego zmienić nie może. Jakże się więc dziwić, że ludzie nie chcą zasiadać w takich teatrykowych samorządach. Ba, na zebraniach nawet nie chcą przychodzić.

#### SPOŁECZNIK NA ETACIE

**St. Murawski.** — Trudno się temu dziwić, skoro nawet delegata na walne zgromadzenie spółdzielni, urzędnik przywoził nam w teczce. I zaczynało się organizowanie tych „demokratycznych wyborów”. Musiałem wcześniej odwiedzić odpowiednie władze, gdzie mówiono mi wprost: „Tak macie, towarzyszu, przeprowadzić zebranie, żeby delegatami wybrani zostali wytypowani”. Dawano mi gotową listę. Z niej wybieraliśmy radę. Czy ludzie tego nie wiedzieli? Najpierw kleli, później dowiekiowali. Nie chcieli w czymś takim uczestniczyć. Musiałem więc biegać po wsi i zbierać kworum. Wytypowani „działalcy” zostali wybrani. Przez całe kadencje nie zabierali głosu. Zawsze byli wygodni tym, którzy ich postavili.

**A. Piekara.** — Ludzie chętnie będą się angażować w pracę samorządową i społeczną, o ile będą przekonani, że nikt nie manipuluje ich głosami, że ich wiedza i doświadczenie są szanowane i oczekiwane.

**St. Zieliński.** — Istnieje pewien paradoks. Dawniej, znamy to chociaż z literatury, samorząd wiejski

dziewięć lat temu wszystko to jakoś funkcjonowało. W mojej rodzinnej wsi nikt z gospodarzy nie opuszczał ogólnych zebrań. Było na nich życie. Każdy mógł się wygadać, wypowiedzieć, zażądać wyjaśnienia od sołtysa, naczelnika, kierownika służby rolnej, prezesa geesu. Nikt nie pacychował się. Zła usługa, zła zaopatrzenie — krytyka — odpowiedź — ustalenie, kto winien.

Teraz zebrania wioskowe prawie nie odbywają się. Brak chęci, brak zainteresowania. Nikt nie chce gadać po próżnicy. Nawet dyrektora SKR-u nie ściągniesz, bo ma ważniejsze sprawy. Co najwyżej — wysle swego reprezentanta, który nie może, nie nie przekaże. Podobnie jest na zebraniach spółdzielczych, gminnych, wojewódzkich. Urzędnicy zdominowali chłopów w ich organach przedstawicielskich.

**W. Redliński.** — Czy rolnicy stał się mniej odważni, mniej zaradni w dochodzeniu swych racji? Są przecież mądrzejsi. Więc coż się stało? Wydaje mi się, że teraz są bardziej zależni. Boją się narazić, bo naczelnik nie przydzieli im materiałów, prezes nie sprzeda węgla. Tak, im bardziej nowoczesne rolnictwo, tym większe powiązania gospodarstw z instytucjami obsługującymi wieś. Tak będzie dotąd, dokąd nie zmieni się systemu sterowania rolnictwem i nie powstaną instytucjonalne gwarancje wymuszające nadzór obywatelski.

**E. Kapusta.** — Samorząd musi mieć prawo odwoływania nie tylko sołtysa, choć i tutaj gminy gwałcą zasady demokratyczne. Mnie najbardziej denerwuje nieufność czy chłopów, rządzących swoimi organizacjami. Czyż nie jest znakiem

Wacław Redliński

Józef Randzio

Andrzej Piekara





jawna dyskryminacja prowadzi do coraz silniejszych antagonizmów. Przejrzeliśmy ostatnio kilka statutow organizacji rolniczych. Są tak zredagowane, że mogą popierać różne decyzje, krzywdzić chłopów i bronić go. Pełno w nich sprzeczności. Widać, nie chłopów je opracowali i nie tylko im miały one służyć. Czas więc najwyższy je zrewiduować. Dokona tego — z pewnością — samorząd wiejski. Sam sobie, bez niczyjej łaski, sprezentuje stosowne statuty.

**L. Gregorek:** — Na zobojetnienie samorządu na pewno miał wpływ Kongres Zjednoczeniowy Spółdzielczości Rolniczej w 1976 roku. Połączono wówczas spółdzielczość samopomocową, ogrodniczą i mleczarską. Za tym poszły zalecenia robienia wspólnych zebrań, na których zamiast decydować, rządzić, zabiegano o stołki. Ogrodnicy przepychali swoich, mleczarze — swoich, samopomocowi — swoich. Zamiast wspólnego działania — kłótnie.

**A. Piekara:** — Rolnicy projekt centralizacji spółdzielczości potraktowali nieprzychylnie. Nie inaczej twierdziliśmy również i my, naukowcy. Przestrzegaliśmy przed nią prezesów centralnych związków, a także i rząd. W specjalnym raporcie, sporządzonym w Spółdzielczym Instytucie Badawczym wykazaliśmy, że spółdzielczość powinna mieć przede wszystkim zasięg lokalny, że nie jej tak nie zaszkodzi jak gigantomania, która m.in. doprowadzi do rozpadu samorządu. A bez samorządności nie ma spółdzielczości. Tworzą ją przecież indywidualni rolnicy i im ma służyć. Nie można robić koncernów i kombinatów. Nikt nas, naukowców, nie przesładował za zdanie odmienne od oficjalnego, ale też i nikt nie wziął go pod uwagę. Decydenci uważali, że mają monopol na rację, na wiedzę, na mądrość i dlatego mają także moralne prawo decydować wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu. W myśl: zrobić wszędzie jednolity schemacik, żeby łatwiej było manipulować, przestawiać.

**L. Gizebach:** — Komuż tak przeszkadzał samorząd? Komu zależało na tym, aby w kat posłała demokracja, a z nią — zdrowy rozsądek?

**A. Piekara:** — Komu? Oczywiście, tylko złej administracji. Jeśli nie wychodzi jej robota — boi się kontroli społecznej, tłumaczy krytykę i flamsi samorząd. Organizuje klakierów, pozoruje swe sukcesy. Najpierw omija prawdę, a potem ją zwyczajnie gwałci. Klakierami mogą być również naukowcy. Administracja spółdzielcza miała swoich „palacowych uczonych”. Oni na zawołanie dorabiali pseudonaukowe opinie do podjętych decyzji, usprawiedliwiając między innymi gigantomanie.

**St. Zieliński:** — Mówi pan profesor: „Oni decydowali”...

**A. Piekara:** — Ja tu nie robię uniku. Byłem wśród tych, którzy wskazywali na źródła i przyczyny niezaradności samorządu wiejskiego. Władze słuchały tylko tych naukowców, którzy im schlebiali. Wśród nas, ci uczeni, nigdy nie mieli autorytetu.

**L. Gregorek:** Nie do końca zgadzam się z profesorem Piekara, iż wszelka koncentracja, to coś szkodliwego. Każda spółdzielczość ma np. swoją służbę rolną. Efekt taki, że jak coś się uda, to każdy pion spółdzielczy bierze to na swoje konto. I tak jeden krokczek do przodu.

Edward Kapusta

Leszek Gregorek



du mnoży się przez liczbę spółdzielni. A tyle w tym prawdy, co na jajku włosów. Choć w terenie huk roboty, w wielu biurach siedzą i nudzą się z braku zajęć. Dlatego uważam, że gminne służby rolne powinny tworzyć jeden organizm.

**A. Piekara:** — A propos służby rolnej. Badania wykazują, że do rzadkości należą jej wizyty u gospodarzy. Odwiedzani byli tylko ci rolnicy, którzy radzili sobie zupełnie nieźle i bez pomocy instruktorów. Gospodarstwa słabsze, oczekujące fachowej rady i wsparcia kredytowego, pozostawały na łasce i niełasce losu. Jeśli nie dojrzeje administracja, nie pomoże nawet dobry samorząd.

**St. Zieliński:** — Tylko żeby nie było tak, jak w anegdotce: prawda, też prawda, g... prawda.

**W. Redliński:** — No właśnie. Ale trzymajmy się pierwszej, a ta jest taka, że nawet najlepsza administracja z piasku bicia nie ukreśli, bo jak powtarza mój przyjaciel: najpiękniejsza Paryżanka może dać tylko tyle, ile ma. Weźmy chociażby zaopatrzenie w sprzęt: przez trzydzieści z górą lat mówi się o braku gwoździ, i widel, baniek na mleko, a więc elementarnych, rolniczych przedmiotów codziennego użytku. W końcu mogło to ludzi znudzić. Co ma im teraz powiedzieć naczelnik czy wojewoda?

**A. Piekara:** — Że obiektywne trudności...

**W. Redliński:** — Tego się już dość nasłuchali.

**A. Piekara:** — Pan wojewoda mówił, że powodzenie samorządu w dużym stopniu zależy od prawidłowego funkcjonowania całej gospodarki, czyli im dostatek — tym większa chęć działania. Nie mogę się z tym do końca zgodzić. Na początku lat siedemdziesiątych był gospodarczy boom, a samorząd już wtedy chromał. Teraz przeżywamy głęboki kryzys, samorząd jakby zaczyna odywać. Trudności mobilizują go do działania.

#### ZE SPÓŁDZIELCZĄ ETYKIETKĄ

**L. Gizebach:** — Na pewno istnieje związek między samorządnością a wyposażeniem rolnictwa. Czy może ona istnieć w oderwaniu od instytucji gospodarczych? Rolnicy chcą mieć nadzór nad ludźmi dysponującymi sprzętem społecznym,

decydować o rozdziale materiałów budowlanych, kredytów.

**St. Zieliński:** — Na czym powinna się zasadzać wiejska samorządność? Gdzie jej podstawa? Największe pole do działania?

**J. Randzio:** — Ja uważam, że takie miejsce jest w kółkach rolniczych. Mają one w Polsce ogromną tradycję. Zdążyły egzamin przed wojną, zrobiły wiele dobrego w latach sześćdziesiątych, kiedy organizacyjnie była im podporządkowana służba rolna.

**A. Piekara:** — Kółka rolnicze jako stowarzyszenie społeczno-zawodowe chłopów i rolników są organizacjami związków zawodowych. Decyzję taką podjęły 2 października Rada Główna i Zarząd CZKR-u. W myśl nowej uchwały nastąpią głębokie zmiany w samorządowej i gospodarczej działalności kółek rolniczych. Pierwotnie miały one spełniać rolę społecznego gospodarza wsi, inicjatora i koordynatora rozmaitych działań zbiorowych. Jednak w praktyce przekształciły się w przedsiębiorstwa usługowo-produkcyjne. Uwidoczniło się to z chwilą powstania międzykółkowych baz maszynowych, a skrajną postać przybrało w formie spółdzielni kółek rolniczych, które przejmując grunty z PFZ-u tworzyły własne fermi hodowlane, zatracały swą usługową wobec rolników indywidualnych funkcję. Stawały się organizacjami powołanymi jakby dla siebie, tak dalece, iż zamiast pomagać członkom kółek rolniczych w uprawie ziemi, zaczęły robić zysk w pozarolniczym transporcie. Zeskaeryzowane kółka rolnicze nie stały się nawet na zachowanie pozorów, że są organizacją producentów wiejskich powołaną do artykulacji, reprezentacji i obrony ich interesów.

**St. Zieliński:** — Jesteśmy chyba zgodni co do tego, że wieś sama rozstrzygnie, co dalej z kółkami rolniczymi. Czy ożywi je, czy — jak tego spodziewa się pan Randzio — poszuka nowych form dla swej samorządności.

**L. Gizebach:** — No, trwają intensywne poszukiwania. Tu i ówdzie powstają organizacje niezależnego samorządowego związku zawodowego rolników indywidualnych.

**St. Murawski:** — Do nas ta idea jeszcze nie dotarła.

**A. Piekara:** — Według mnie kółka rolnicze już po prostu przżyły się. Wielu rolników ma ich dość.

#### SOŁTYS Z TECZKI

**L. Gizebach:** — Wróćmy do pytania: Wokół czego ma się skupiać wiejski samorząd?

**A. Piekara:** — Po reformie podziału administracyjnego gminy powiększyły się i rozrosły. Bez samorządności muszą kuleć. Tymczasem jedynym aktem władczym zebrania na wsi jest nadal powołanie lub odwołanie sołtysa. Coraz mniej nawet i tam walki wyborczej. Coraz większe zrzeczenie. Bywa, że kandydata na sołtysa przywozi naczelnik a wieś aktywność swą sprowadza do przytaknięcia. A przecież zebranie wiejskie, to najczystsza forma demokracji bezpośredniej. Zgubić ją, zaprzepaścić, znaczy zgubić, zaprzepaścić wszelką chęć i zdolność obywatelskiego decydowania.

**J. Randzio:** — Zebranie wiejskie, to chłopski parlament. Wykonawcą jego postanowień jest sołtys. Właśnie, kim jest sołtys? Wypełnia

funkcje namiestnika naczelnika gminy, a więc — półurzędnik?

**A. Piekara:** — Stawia pan tu bardzo ważny problem. Istotnie, sołtys czuje się bardziej uzależniony od naczelnika niż zebrania wiejskiego, czy jak pan to określił, chłopskiego parlamentu. W tej sytuacji zebranie wiejskie musi mieć swój silny organ wykonawczy, najlepiej kolegialny. W dwóch ostatnich latach w wielu wsiach powstał on żywiołowo. Rozmaicie to się nazywa: radą sołecką, komitetem sołeckim. Administracja gminna i wojewódzka dostrzegła w nim partnera nieco kłopotliwego. Zaistniały więc przypadki, że kandydatów do samorządu powoływał naczelnik, narzucając tym samym charakter i styl działania.

**E. Kapusta:** — Istnieje podobny problem z powoływaniem naczelnika. Jest on obecnie terenowym przedstawicielem administracji, lecz spełnia jednocześnie funkcję organu wykonawczego rady narodowej, a więc samorządu lokalnego. Trudno ze sobą pogodzić te dwa rodzaje zadań. Kto więc powinien dobrać i powoływać naczelnika? Decyzja powinna należeć nie do wojewódzkiego urzędu, lecz do miejscowej rady narodowej. Naczelnik musi stale mieć świadomość, że właśnie — rada wywindowała go na ten urząd — i wiedzieć, że tylko ona w każdej chwili może go odwołać. Wtedy będzie się z nią liczył.

#### ODCZULEM TO NA WŁASNEJ SKÓRZE

**St. Murawski:** — Zapewne pan wojewoda słyszał, co się w naszej gminie działo. Ile łapówek? Ile zawisło? Wszystko z racji upoważnienia jednej osoby — naczelnika — do rozdziału maszyn. Odczułem to na własnej skórze. Też musiałem dawać jak inni.

**A. Piekara:** — Pan rzeczywiście dawał łapówki?

**St. Murawski:** — Tak, i to często, i wysoko. Więcej niż na podatek. Trzeba coś zrobić, żeby ludzie na nowo uwierzyli w siebie i słuszne zasady socjalizmu.

**L. Gizebach:** — Suwerenności samorządu wiejskiego potrzebne są gwarancje, ale jakie?

**A. Piekara:** — Ano, właśnie. Mieszkańcy osiedli miejskich mają swój mini-parlament w postaci rad osiedlowych. Wieś go nie ma. Ponadto brakuje jej własnego organu wykonawczego. Jest to kolejny przykład dyskryminacji i niesprawiedliwości w traktowaniu ludności wiejskiej. Nieodzownym, ważnym elementem systemu gminnego musi być rada narodowa. Jeżeli nie będzie ona wybierana i inspirowana demokratycznie, nie będzie demokratycznie funkcjonować.

Wzorem demokratycznych decyzji powinna być partia. Dopóki w jej sposobie funkcjonowania nie będzie demokracji, nie mamy się co spodziewać demokracji w innych organizacjach. Chodzi o to, abyśmy w ramach programu socjalistycznego spierali się o środki i zasady realizacji socjalizmu.

**St. Zieliński:** Konkludując — pełna samorządność wsi to skracanie drogi do ożywienia rolnictwa.

**L. Gizebach:** Zaś upomnienie się o demokrację jest także upomnieniem się o chleb.

Opracowali:

LECH GIZELBACH  
STANISŁAW ZIELIŃSKI

rolnictwo - wiedza - postęp





DOKOŃCZENIE  
Z POPRZEDNIEGO NUMERU

**P**oniedziałek zaczyna się o 5.30. — Wstawać, zaraz damy dzieciaki! — Wkrótce wyjeżdża z dziecięcego wózka z 12 maluszkami. Każda z sióstr trzyma jeszcze po jednym na ręce. Po karmieniu pada rozkaz ścielenia łóżek. Pani Jadwiga chce wymienić podkład, ale, niestety, nie ma czystych. Po chwili widzę, jak dyżurna daje świeży podkład pani z innej sali. Znajoma? Ma ładniejsze oczy? Dala więcej?

Przed śniadaniem kolejka w łazience. Długo stoję i czekam, aż będzie wolna kabina z prysznicem i... ze słójkami. Upiywa godzina, może więcej. Ściele łóżko. Podkład jest bardzo brudny. Poduszka z jednej strony także, a z drugiej ma wydarty róg (otwór 10x15 centymetrów). Powłoka na koc też nie grzeszy czystością. Chyba po poprzedniczce.

Na śniadanie bułka, masło, milimetrowe plasterki sera z czerwonym wojskiem dookoła. Trudno go odkroić widelcem, palcami zdjąć — również.

Przychodzi ksiądz kapelan. Zostawia obrazki i gazety. Wypytuje go o wieści ze świata. Okazuje się, że dużo dzieje się na Wybrzeżu. Daje stówę na mszę, bo właściwie komu dać te pieniądze i za co?

Pani Jadwiga ma pecha. O jedenastej chce wyjść do ubikacji, ale właśnie umyło podłogi i siostra zabroniła. Trzeba wstrzymać się z siusianiem.

Siostra dyżurna zdejmuję z poręczy mój ręcznik i rzuca mi go na łóżko: — Schować! — Gdzie? — Do szafki lub pod poduszkę. — Mokry pod poduszkę? — Nie wolno mieć swoich ręczników. — To czym się wycierać, skoro szpitalnych nie ma? — Bo pani pewnie się nie upomniała. — Jak mam się upomnieć, to wolę mieć swój. O wszystko się upominać. — Która z pań nie ma ręcznika? — pyta. Zgłaszają się wszystkie trzy. Przynosi każdej bawełnianą ścierkę do naczyn. Przyda się. Mam tylko jeden swój ręcznik, bo pielęgniarka nie pozwoliła niczego zabierać, a przecież są do mycia dwie różne twarze.

W południe przynoszą pani Irenie szlafrok (pani Jadzi — zmieniają) i nawet koszulę. Poprzedni szlafrok miał wydartą jedną czwartą pleców, co wreszcie jedna z sióstr zauważyła. Miła salowa przynosi mi dwadzieścia złotych. Specjalnie dla mnie rozmieniła, a tu automat na korytarzu nieczynny. Pytam się więc siostry, czy mogę zadzwonić. — A pani dzisiaj wychodzi? Bo ode mnie mogą dzwonić tylko te, co wychodzą. Po co pani będzie dzwonić? Niech do pani dzwonią.

Sama dobrze wie, że ona i jej koleżanki albo nie odbierają telefonów, albo nie wołają. Jedna z pań mówi, że na ginekologii jest telefon; jak dam złotówkę, to mi wykręcą numer i będę mogła pogadać. Na razie ciężko mi chodzić, więc rezygnuję.

Panie co chwila biegają do wejścia i wypakowują do szafek walówki. Pani Jadzia chyba już trzecią siatkę dziś rozładowuje. Godzina 12.30. Dzieci jeszcze nie przyniesiono, za to dają już obiad. Botwinka, mielony, pięć listków surowego ogórka. O 13.50 przywożą dzieci. O moje muszę się upominać, bo siostry gdzieś je przeoczyły. Dają mi na karmienie piętnaście minut.

Pani Jadzia ma dwadzieścia lat. Zwija się na łóżku; boją ją zęby. Urodziła drugie dziecko. Dostaje pyralgin. Mleka nie lubi i nie pila w czasie ciąży.

Siostry od dzieci wracają z kwiatami i bombonierkami. Kilka pań opuściło dziś szpital. Do pani Jadzi przyszedł mąż. Wychodzi więc na balkon, owinięta kocem. Krzyczy, żeby kupił dwie ściągaczki do pokarmu i podał przez Stasia. Salowa przyszła ściierać kurz z kwarcówki. Zauważyła króciutką frezję na moim stoliku w przykrywe od kremu. Mówię, że mąż przemycił w torebce z pomidorami. Wołają panią Irenę, by wyszła na balkon, bo przybył pijany brat i coś pod balkonem bełkocze. Kobiety chodzą do dyżurki po podkładki. Jest tam dziś fajna siostra, Krysia, która daje je bez mrużenia. Rozumie, że żadna z nas ich nie je, tylko nie chce pływać.

Idę do ubikacji umyć jabłko. Jest w niej czynny kran. Jedna z matek pali tu papierosa. Mówi: — Nie warto myć jabłek. — Pytam, czy warto palić i truć dziecko. — Ja nie kar-

mię — odpowiada. Przez to palenie stale otwarte jest ogromne okno w ubikacji i ciągle marzniemy. Gdy ktoś otwiera drzwi, robi się przeciąg. Z kolei do pani Ireny przyszedł mąż. — Przynieś mi dobrych eukierków — krzyczy z balkonu. — Tak lubię dobre cukierki. — Pani Irena ma dwadzieścia dwa lata i uśniętą ciążę pozamacięzną. — Ja z teściową nie rozmawiam — zwierza się — bo po operacji chodziła do ludzi i gadała, że moje dzieci w kanale pływają, zamiast mi współczuć. Jakbym ja była winna.

Na kolację zacierka bez cukru, herbata i 4 centymetry kaszanki, chyba wczorajszej. Pani Irena skarży się: — Miał przynieść dobrych eukierków i nie przyniósł.

Odwiedza nas pani Teresa. Śmieje

się, że mąż musi jej kupić samochód. Powiedział podobno, że jak urodzi córkę, kupi jej hulajnogę, a jeśli syna — to wózek z silnikiem.

**W**torek, 26 sierpnia, zaczyna się jak zwykle. Na śniadanie 6 centymetrów kielbasy, słodka bułka, kromka chleba, masło, kawa z mlekiem. Pani doktor na obchodzie oznajmia, że może jutro pójść do domu, chyba że się jeden szew nie zagoi.

Mówię jej, że bardzo boli mnie odbyt i nie mogę się wypróżnić. — To co ja pani poradzę? Dostała pani hemorectal, a jak będzie bardzo bolało, to damy zastrzyk. Chyba mamy pyralgin? — pyta położnej. Jestem tym zaskoczona. Nie chodzi o to, by złagodzono mi sam ból, ale

żebym mogła wreszcie, czwartego dnia po porodzie, coś z siebie „wydusić”. Pani Jadzia jest smutna, bo u niej ze szwami coś nie w porządku.

Drugi obchód, z ordynatorem. Po nim przychodzi siostra dyżurna i podając czystą koszulę, mówi: — Niech pani zmieni tę koszulę, bo obrzydliwie do pani podejść.

— Nareszcie — odpowiadam. Od porodu nie miałam zmienionej. Słyszec: — To trzeba było się pomnieć.

Myślę, że bielizna i pościel powinny być zmieniane codziennie. Okazuje się, że tylko pani Jadzia ma inną koszulę, a pozostałe te, w których rodziły.

Do sali zagłada młoda, szczupła pani w kapciach na butach. — Recepty są? — pyta. — Są, są wszystkie — odpowiada jej siostra.

— Matko Boska, co się dzieje? Gdzie są kapcie? — słychać z korytarza.

Wracając z łazienki pani Bożena mówi, że zapanował popłoch ogólny, bo przybył Senepid, i że facetka, która wychodzi dziś do domu, tej od szlafroków, kazano zdjąć jej czerwone kapcie. Śmiesz mnie to. Te wizyty kojarzę z drugim obchodem, w którym uczestniczył ordynator, ze zmianą koszul i szlafroków. Senepid też akceptuje jeden ręcznik! Higiena przez duże „H”, zwłaszcza z tym jednym kranem na pięćdziesiąt kobiet po porodzie i prusakami (jednego rozdeptałam na porodówce).

Na obiad dwa mintaje, pięć plasterków surowego ogórka, ziemniaki, zupa z fasolką, zabeliana. Odkładam rybę na później, resztle odstawiam. Mam kłopoty z żołądkiem, więc boję się jeść. Idę do siostry dyżurnej prosić o pomoc. Nie mogę leżeć, siedzieć, z trudem chodzę — taki ból. Koleżanka z pracy poradziła mi przez telefon, żebym poprosiła o czopek glicerynowy. Nie ma siostry dyżurnej. Mam w oczach i bólu pełno łez. Siostra od dzieci pyta, dlaczego tak cierpie. Szuka w dyżurce, ale nie znajduje czopków. — Pójdę do położnych — mówię — one powinny mieć. Po chwili wraca; nie mają. Słyszec z ginekologicznego Hemoroidy? Ja też miałam hemoroidy. Wielka rzecz!

Siostrze od dzieci jest przykro, że nie może pomóc. Chyba dostało się jej od położnych. Jedna z nich, w siłę wieku, ta sama, która w nocy dziwiła się, że na porodówce nie mają podkładek, podchodzi do mnie: — O co pani chodzi? Przecież dostała pani hemorectal. — Porusza się z lekko uniesioną głową, bez uśmiechu, sztywno. Sprawia wrażenie strażniczki. Proszę o pomoc, bo hemorectal nie pomaga. — A co ja pani pomogę? — odpowiada ostatecznie. Odwracam się i płaczę, mimo że tak bardzo chciałam odejść spokojnie. — Jak się pani nazywa? — woła za mną. Nazwisko nie chce mi przejść przez gardło. — Co pani taka wrażliwa — kwituje. — Pani doskonale wie, że jestem położną i też muszę się zapytać.

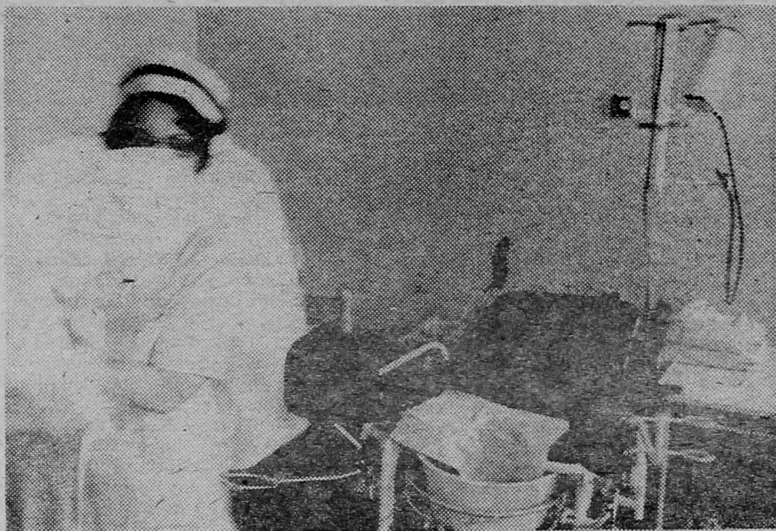
Po chwili przynosi mi czopek do sali. Wzbudza to dyskusję: — Dali dopiero wtedy, jak się pani rozplakała. A przedtem nie było!

Pani Bożena jest wzburzona: — One wszystkie chcą tu — pokazuje otwartą dłoń. — Czy ja bym urodziła? Nie urodziłabym. Zostawiłaby mnie i poszła. Bóle mi zanikały całkiem; miałam już co dziesięć minut. Siostra stanęła przy mnie i mówi: „Rodzić!” Wtedy dałam jej dwie stowy, na stoliku miałam przyszykowane; podłączyła mi kroplówkę i dała czopek. A przedtem mówiła, że kroplówka jest na zlecenie.

Pani Jadzia, której krzyk słyszałam w sobotę po północy, skarży się: — Przecież wiedziała, że mam rozwarcie, a poszła sobie! Dopiero zaczęła się szykować, gdy krzyczałam, bo wszystko już wychodziło ze mnie.

— Jak rodziłam pięć lat temu — kontynuuje pani Bożena — to chciałam dać położnej stówę. Ale ona powiedziała: „Nie, aż pani urodzi”. O, na i teraz mnie się zapytała, jak się czuję. Inni sobie siedzieli i kawkę pili na dyżurce, a kobiety stękały na porodówce.

— Dziesięć lat temu — wtrąca pani Jadzia z przejęciem — jedna kobieta spadła im z łóżka porodowego. Wywieźli ją do trupiarni. I tam dziecko z niej jeszcze do połowy

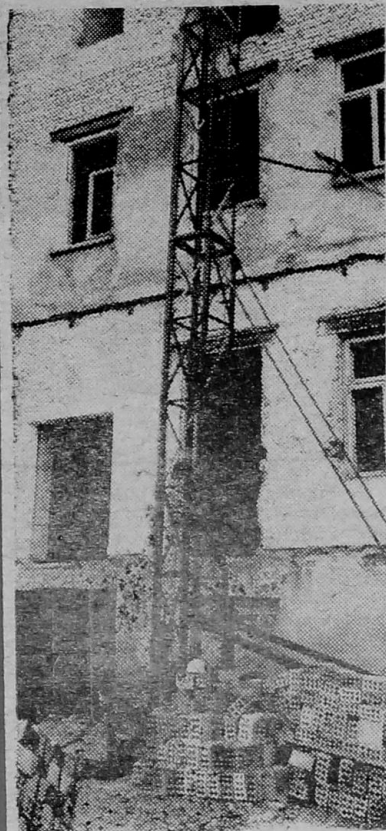


JOANNA ZIMNA

## rodziłam w „Pogodę dla bogaczy”







Żuż równo trzy lata trwa remont Budynku Urzędu Miasta i Gminy w Rajgrodzie. Samo ogrodzenie placu budowy (z desek) stawiano przez cały miesiąc. Mieszkańcy tego rajskiego grodu wspominają, że remontowany budynek wznosił przed 80 laty — w ciągu jednego roku — Żyd o przezwisku „Cygan”.

W Kurkowie (gmina Grabowo) młodzieży nie wpuszcza się na boisko szkolne, ponieważ ktoś ukradł stamtąd jedną bramkę. A stało się to dawno, dawno temu, kiedy dzisiejsza młodzież w wieku pachołecym była. I znów potwierdza nam się mądrość ludu: „Cygan zawił, a kowala powiesili”.

Gminny Ośrodek Kultury w Szumowie zakupił sprzęt muzyczny wartości 300 tysięcy złotych, po czym starannie złożył i przykrył, aby przypadkiem komus nie przyszło do głowy pograć na nim. Jak można lepiej zapewnić mu dłuższy żywot?

Rekordy Łomżyńskiego. W dziedzinie myślołóstwa wyższych sukcesów dotąd nie zanotowano. Natomiast wśród naprawiaczy samochodów najlepszy okazał się zambrowski „Polmozbyt”: już dziewięć miesięcy remontuje jedną wolę, a ma szansę poprawić ten wvnik!

W Łętownicy (gmina Szumowo) od 12 lat czekają materiały budowlane, aż ktoś sobie przypomni, jakie było ich przeznaczenie (remiza strażacka) i wyda zezwolenie na budowę. Jakies cierpliwie te materiały: trochę wprawdzie się podniszczyły, ale przez 12 lat nie zmieniły miejsca ani właściciela!

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej WPGKiM w Łomży rozmilował się w komputerach. Tak go ta zabawa wciągnęła, że dla jej podtrzymania daje maszynom do przetwarzania jakieś fikcyjne dane na temat zaległości czynszowych: z osłatkami same radzą sobie świetnie. Nie byłoby w tym niewinnym zajęciu nic groźnego, gdyby nie fakt, że Zakład rozsyła wyliczenia lokatorom w formie upomnień. Sam zaś, upomniany przed rokiem, nie potrafi z tych atrakcyjnych dla siebie praktyk zrezygnować.



choruję się tu ze zmartwienia. Maluszek chyba stale płacze, bo gdy go przynoszą, jest czerwony, a najedzony i wyspany ma ładny kolor ciała.

Na miejsce pani Bożeny przywożą panią po cesarskim. Często płacze: — Pierwsze dziecko mi zmarnowałam! Było większe od tego, które żyje. Mąż mówił, że całutką trumienkę wypełniło. Kto wie, co by i z tym drugim było, gdyby nie znajoma.

Dowiaduję się, że leżała 12 godzin od chwili odejścia wód płodowych. Nikt jej nie badał. Dopiero znajoma poszła po ordynatora. Właśnie był w szpitalu (w niedzielę), bo przywoził siostrę zony na oddział. Leżała w samej naprzeciw. Pewnie by nie dali kroplówki, ale że szwagierka ordynatora dostała, to i tej musieli.

— Ordynator przyszedł, zbadał mnie, mówi: „Zaraz na stół”. Pewnie wypadła dziecku pepowina, jak mnie badał. Ja tak myślę. Ale niech pani nie przy tej nie mówi — pokazuje na łóżko położnej, która właśnie wyszła — bo oni w jedną kaszę dmuchają. A co człowiek robi, jak zachoruje?

Po południu i ona ogląda, pozostałego przy życiu, ośmiomiesięcznego syna, który leży w inkubatorze. Wraci i znów płacze. Rozmowy urywają się.

W łazience mniejsza kolejka. Dużo matek wyszło w południe. Muszę wziąć stoik od kompotu, bo wszystkie gdzieś pozniwały. W ubikacji czarno od dymu. Matki palą, a potem ściągają i niosą mleko na oddział dziecięcy do dokarmienia. Tak twierdziła pani Bożena.

Mam miętę w torebce. Kompot się skończył, a wody gotowanej już nie ma. Dostaję trochę przed dwudziestą czwartą. Pani położnej przynoszą gorącą herbatę.

Czwartek, 28 sierpnia. Dziś opuszczamy szpital. Po porannym obchodzie siostra zdejmuje mi szwy. Jeden bardzo boli. Nie zagoi się, więc go nie wyjmuję.

Karmimy dzieci w południe. Na obiad dają kolduny; duże, jak męska pięść, klejące się. Nawet dobre, tylko ciężkie do strawienia. Proszę miłą siostrę od dzieci, żeby wypisała mnie jako jedną z pierwszych, bo mąż nie może później nas odebrać. Obiecuje. Po ogólnym zebraniu, na którym informują wychodzące matki o stanie zdrowia dzieci i sposobach pielęgnacji, schodzę z drugiego piętra na parter, do pokoju, gdzie siostra ubiera Maluszkę. W piwnicy, w obokurnym kącie, zrzucam z siebie koszulę i szlafrok; pakuję je do zbiorowego worka. Ubieram się wreszcie w swoje rzeczy. Mąż się trochę spóźnia. Wręcza siostrze ładną wiązankę kwiatów. A ja wkładam jej do kieszeni dwie stowy. Może przytuliła choć raz Maluszkę, gdy płakał?

Fot. GABOR LÖRINCZY

Pani Irena stwierdza, że nie wiedziała o tym dziadostwie z Łomży: tak w szpitalu, jak i w sklepach, w szkołach, wszędzie. Pani Bożena nie wytrzymuje: — Jak wpadnę, kiedy te drzwi otworzę, to od razu zrobię tam porządek! Co jest, już dziesięć po dziesiątej, a dzieci nam nie przynoszą. To ma być regularne karmienie: raz co dwie, raz co cztery godziny.

Pomógł mi czopek. Nareszcie leżę sama noc.

Sroda, 27 sierpnia. Dziś Maluszek szeroko otwiera oczy. Jest bardzo ładny i delikatny. Nie wyjdziemy jeszcze do domu. Jeden ze szwów nie zagoi się. Nie wiem też, czy Maluszek wyjdzie z tym krwiakiem. Na śniadanie jem pieczywo z pastą jajową. Pani Bożena i Irena są szczęśliwe. Pakują zawartość szafek do toreb. Pani Irenie siostra w siłę wieku zdejmuję szwy. — Niech pani się nie trzęsie zawczasu — mówi. — Nie jestem taka groźna, na jaką wyglądam. Nie chcę nikomu zrobić źle, wręcz przeciwnie. A że wyglądam ostro...

Patrzy na mnie, więc się uśmiecham. — Dziś wszystko kwituje śmiechem, a wczoraj płakała — mówi siostra.

Pani Irena musi opuścić łóżko. Przywieziono od porodu położną. Rodziła drugie dziecko po siedmiu latach. Daria się jak oparzona (tak sama później stwierdziła), choć podobno bardziej bolało niż oparzenie. Myślę, że mój ból fizyczny był niczym w porównaniu z przerażeniem i strachem o dziecko. Myślałam tylko o nim.

Dwie pielęgniarki z czarnymi paskami ściela położnej łóżko. Przynoszą ceratę (żadna z nas nie miała), pantofle, szlafrocze. Nie musi się upominać. Jest samo południe. Przychodzi: pani doktor i siostra Lusja. Pokazują jej jeszcze raz na życzenie, syna. Po czym przynoszą dodatkowy koc do przykrycia i worek z łodem na brzuszek.

Na obiad zupa pomidorowa, kurczak, trzy plasterki surowego ogórka.

— Czy chcesz buraczki? — pytają położnej. Zjada dodatkową porcję buraczków. Oczywiście, dostała widelce, łyżkę i kubek. Czeki na telefon i nawet wstaje, żeby odebrać, bo żadna z siostr, jak zwykle, tego nie czyni.

Pani Jadzia martwi się. Puścił jej chyba jeden szef. Krwawi. Jutro więc do domu nie pójdzie. Mówi: — Nie siostra nie miała przygotowanego. Nawet mi riwalonem nie ziała. Rękawiczki wzięła czyste? Chwyciła, jakie były pod ręką. I teraz mogę mieć zakażenie. To Oleńka mnie szyla.

Chciałabym Maluszkę zabrać stąd jak najszybciej. Oczka zaczynają mu ropieć. Od dwóch dni ma na środku czoła przyschniętą grudkę ropy i buzię brudną od poprzedniego karmienia. Na włoskach nadal ślady krwi. Mam 37,3 temperatury, ale nie powiem, bo mogę jutro nie wyjść. Roz-

wyszło! To ten mąż myślał, że wszystkich powystrzela.

— Co zrobili lekarzom? — pytam. — Nie wiem. Chyba nie. — Pies psa ugryzie, myśli pani? — kwituje pani Bożena.

Robi mi się zimno od tych opowieści. Dodatkowo mrozą mnie wieści na temat narodzin martwych dzieci. Niedawno zdarzył się taki poród; położna zawięła płód w szmaty i rzuciła pod ścianę.

Po czternastej przychodzi lekarz od dzieci i mówi: — Zapomniałam pani powiedzieć, pani dziecko ma krwiak z tyłu głowy, aż do kości. Powstał przy porodzie. Może to nie mieć konsekwencji, a może mieć. Dziecko jest pod obserwacją.

— Widzi pani — mówi pani Bożena — jak pani rodziła, to ona sobie poszła na film. Powiedziała: „To pa- ni trzecia ciąża? Proszę się położyć na leżankę, ja zaraz wrócę”. Wróciła, jak się skończyła „Pogoda dla bogaczy”. Ja siedziałam przy pani na leżance, a pani stękała. Stąd ten krwiak. A może gdzie stuknęli, bo byle jak noszą te dzieciaki i nie patrzą, że one machają główkami. — Dziwne, że dopiero dzisiaj zawiązały.

— Oni jeszcze przed wyjściem mogą powiedzieć, że coś jest dziecku — ciągnie pani Bożena. — Mój Jacek był tu, jak miał dwa lata, czyli trzy lata temu. Oparzył się. Położyli go na normalne łóżko. Dopiero w nocy włożyli go do łóżeczka. Leżał tu trzy tygodnie. Lekarz łapówy dostawał, więc mówił tylko: „Dobrze, dobrze”. Przyjechałam do niego w niedzielę, nie chcieli mnie wpuszczać. Jak wpadłam na sale! A on cały zabandażowany, osikany, brudny, w nie powleczonej pościeli! Zaraz go zabrałam i do siostry poszłam. „Dzisiaj jest niedziela, powiedziała, i moim obowiązkiem jest go tylko nakarmić”. A jak przywieźliśmy chłopca do domu, to wladro bandaży z niego zdjęliśmy. Później od kobiety przywieźliśmy lekarstw i w domu wygoiłam go z tego. Jego szmatki całe w ropie były. Pozawijali takie rany jak dłoń, do kości. Cyculka, tego pupka, wcale już nie było! A w sąsiedniej wsi jest dziewczynka, co oparzyła sobie pupkę. Tak długo leżała w szpitalu, że jest całkiem głuchoniema.

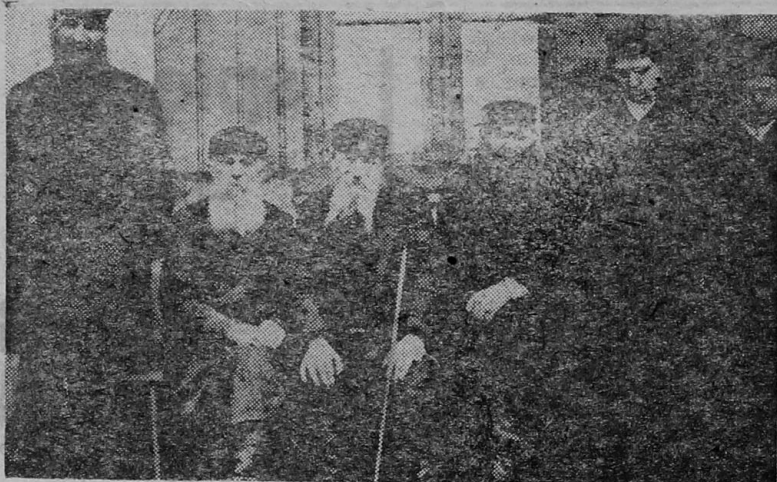
Na kolację zupa mleczna z pieczakami.

Tak mi smutno. Martwię się o Maluszkę. Ze też chciało mi się ro- dzić akurat w czasie ostatniego o- dcinia filmu! Mam wieczór płaczu w poduszke. Dzieci też płaczą. Pani Bożena ma dzień gadania: — Tam sobie siedzą, kawkę piją, a dzieci płaczą. Zanim do nas przyniosą, to uciszają. Takiego dzieciaka wystar- czy przytulić i uspokoi się na chwile. Jak tu leża na wózku, nie płaczą, a gdy dalej odjadą, to w ryk.

— Zaraz telefon będzie z Warszawy — wtrąca pani Jadzia — tylko im zdjęcie zrobić, jak wszystkie leca. Żeby telefon był ważniejszy od dzieci!







## 13

ROZDZIAŁ

— Masz może rację, lecz jaki jest margines innych naszych możliwości? Zaden. Bez zjazdu zamkną PPS-Lewicę za brak statutu i nielegalne przechwycenie kierownictwa po Krupie. Zjazd może odroczyć decyzję władz, zwłaszcza udany.

— Albo odwrotnie.

Mieszkał na Złotej, w prywatnej kawalerce. Uposażenie sekretarza nie było wielkie, lecz w granicach 600 złotych mógł żyć przyzwoicie. Jolka go odwiedzała, czasami on ją, lecz ten związek nie miał charakteru stałego. Łączyła ich przyjaźń, zapewne przywiązanie, przy pełnej świadomości braku uczucia. Próbował nawiązać kontakt z Marią, lecz bez powodzenia. Oschły głos w telefonie nie wróżył nic dobrego. Zresztą niewiele miał czasu dla siebie. Dzień po dniu wypełniały mu sprawy zjazdu, wyjazdów w teren, spotkań, zgromadzeń publicznych. Zaczął wychodzić nowy dziennik PPS-Lewicy, „Robotnicarz”. Adam poświęcał mu sporo godzin.

Pewnego dnia otrzymał wezwanie do prokuratury generalnej. W rozmowie uczestniczył prokurator Rudnicki i komisarz Pogorzelski. Targowiakowi pokazano oświadczenie Andrzeja Krupy w sprawie konferencji w Sopocie i postulat, by zwrócono mu partię. Powoływał się na pierwszy Zjazd PPS-Lewicy z 1927 roku. Adam, rzecz prosta, zakwestionował uprawniającą Krupę Krajową konferencją wybrała nowe władze, które najbliższy zjazd miał zatwierdzić, lub zmienić. Wszystkie dotychczasowe decyzje mieściły się w ramach statutu i legalności. W Sopocie nie był i zeznania Krupy należało traktować jako świadomą prowokację.

— Nie zaprzeczaj pan współpracy z komunistami?

— W ramach jednolitego frontu organizacji lewicowych.

— Pod dyktando KPP?

— Decydują władze partyjne, oczywiście PPS-Lewicy.

— Panie Targowiak — przerwał Pogorzelski wymianę zdań z Rudnickim — długo tak będziemy się bawić? Rozmawiamy poważnie. Aż do nowego zjazdu PPS-Lewicę reprezentują Krupa, Legomski, Augustyniak, Musiał i władze wybrane w roku 1927. A pan i całe towarzystwo jesteście wobec władz uzurpatorów, w najlepszym przypadku twórcami nowej partii, szczerze mówiąc: przybudówki KPP.

— Donosy są fałszywe. Krupa reprezentuje kanapowe towarzystwo, a nasze władze mają poparcie trzydziestu tysięcy członków legalnie zarejestrowanych.

— Uprzedzamy — podjął rozmowę prokurator Rudnicki — prawo jest przeciwko panu. Jeżeli Krupa nie przekaze panu oficjalnie swoich uprawnień, zastosujemy wszystkie sankcje.

Targowiak pojechał na Żelazną i zwołał sekretariat. Zaproponował swój wyjazd do Krakowa i spotkanie z Krupą. Dyskusja była burzliwa. Nie chciano pertraktować z prowokatorem. Targowiak przełamał

jednak swoje stanowisko argumentem konieczności grania na zwłokę i wykorzystania wszystkich legalnych możliwości, zanim nie zbierze się zjazd, zwłaszcza w sytuacji coraz liczniejszych aresztowań działaczy Centrolewu.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

## ZOSTAĆ SOBĄ

## 14

ROZDZIAŁ

Wysiadł na dworcu w Krakowie w podąż szarugę. Postawił kołnierz i przez Stary Rynek skierował się. Na Krupniczej wszedł do knajpki; poprosił o jajecznicę na boczku, kieliszek wódki i kawę. Faceci przy sąsiednich stolikach nie byli ciekawi. Piotr Spalek, sekretarz miejscowej PPS-Lewicy, miał być w lokalu za godzinę. Zaledwie o tym pomyślał, gdy wszedł Krupa; wysoki, barczysty, z nieco zmęczoną twarzą. Krupa nie dostrzegł Adama. Zamówił to samo, tylko zamiast wódki — piwo i sięgnął po gazetę, „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Gdy kilku gości wyszło Adam zbliżył się do Krupy. Podniósł głowę. Przez chwilę miał w twarzy coś w rodzaju niepokoju.

— Co tu robisz?

— Czekalem na ciebie. Specjalnie przyjechałem.

— Siadaj. Nie będziesz strzelał?

— Nie jest to moja specjalność.

— A Nowacek?

— Sprawa przypadku. Nie podasz mi ręki?

— Zamów piwo.

Przyglądali się sobie. Byli sami. Kelner podał dwa nowe kufle.

— Czego szanowny towarzysz może chcieć od prowoka.

— Nie wygłupiaj się, Andrzej. Sprawa nie jest prosta i wiesz o tym. Od ciebie zależy legalizacja partii.

— Nie ma takiej partii. Jest przybudówka KPP. A ja chciałem mieć partię nie socjaldemokratyczną, nie komunistyczną, lecz socjalistyczną. Po to robiłem rozłam w PPS jeszcze jako sekretarz OKR Kraków i przewodniczący Zarządu Głównego Związku Chemiczów. A ty co jesteś? Gówniarz. I co z tego mamy? Gówno. Obrzuciliście mnie łajnem, zrobiliście ze mnie prowoka. I teraz przychodzisz. Po co?

— Nie jesteś prowokiem?

— Kto to powiedział?

— Ja. Jest to moje przekonanie. Dlatego tu jestem.

— Łezesz.

— Nie, Krupa, nie lę. Sprawa jest zbyt poważna. Rozmawiałem z Kazimierzem Rudnickim, generalnym prokuratorem. Odmawiają naszej legalizacji bez twojego aktu zrzeczenia się stanowiska sekretarza PPS-Lewicy.

— Dlaczego mam to zrobić?

— Bo nie jesteś prowokiem, a działaczem robotniczym, który wie, że przegrał. W warunkach represji i nagonki nie ma miejsca na par-

nię między PPS i KPP. Do PPS cię nie przyjmą, wiesz o tym, a z KPP zerwalesz. Nie wchodzę w motywy.

— Jest inne wyjście.

— Jakie?

— Strzelić sobie w łeb.

— Masz na to czas. Możesz stanąć na uboczu. Damy ci spokój. pozwól nam istnieć.

Krupa huknął pięścią w stół.

— Nie pozwolę! Szynkarz, dwa piwa. Nie pozwolę, rozumiesz? Ty nie masz za sobą nic. Ja — życie: pracę, strajki, areszty, klasowe związki zawodowe, PPS. To długa droga i ja jej nie oddam. Chciałem polskiej klasie robotniczej pomóc. Polskiej — słyszysz? Komunizm nie chodzi o Polskę. Jej serce jest gdzie indziej. Dlatego zerwalem. Nie podpiszę waszego statutu i nie oddam swojego.

— Każdy z nas jest Polakiem, a faszyzm w ofensywie. Nie widzisz? I co zrobimy w pojedynkę? Pójdziemy, jak było, na ubój. Z jednej strony jest racja strachu, z drugiej — racja walki.

— W dupie mam twoje przekonanie. Co ja mogę obchodzić funkcjo-

— O pieczęcie ci chodzi czy o mnie?

— O statut, pieczęcie, o ciebie i o mnie. Wziąłem naszą rozmowę na siebie.

— Tak, to rzeczywiście niewiele.

Kelner kręcił się i podsluchiwał. Należało kończyć. Ta wymiana zdań mogła sprowadzić im nieszczęście.

— Proponuję jeszcze jedno spotkanie — przerwał milczenie Krupa.

— Dobrze.

— W związku Chemiczów, zgoda?

— Zgoda.

— Za dwie godziny?

— Jestem do twojej dyspozycji.

— Sam się zjawisz?

— Tak.

— Kelner, płacę. Do zobaczenia.

Cześć.

Adam wstał do Spalka. W ogólnych zarysach powtórzył dialog z Krupą.

— Pójdiesz?

— Oczywiście.

— Mogą ci zapalać i wrzucić do ścieku. Wiesz, jak traktowano w Brześciu Witosa i Libermana?

— Jest inne wyjście?

— Wypiąć się i czekać. Obejdzie-  
my się bez jego pieczęci i drukarni.

— Lubie iść do końca.

— Powodzenia, Adam.

Szaruga wyciszyła się. Przełaził się niebo. Kraków ożył. Wylegli ludzie. Gołębie laziły po rynku. W lokalu Związku Chemicznego już czekali na Adama. W obokurnym pokoju siedział Krupa. Był pijany.

— No, jesteście.

— Jak widzisz.

— Mogę cię zabić i nikt nawet nie będzie wiedział.

— Jedną śmierć i jedno życie.

— Siadaj. Oto kieliszek, kiszony ogórek, to ważne, no nie?

— Jak na początek, nieźle.

— Jesteśmy bankruci, Targowiak.

Cała ta PPS-Lewica to partia funta klaków nie warta. Bez niej może istnieć i policja i KPP. Nie mówię ci o tym przedtem, bo po co? Kto za nami poszedł? Kilku obrazonych ramoli, że nie zostali posłami. Resztę przysiali z komuną. W tym założeniu był pewien sens. Ale niewielki. Chodziło o sztyd. Mogę ci klucze oddać, i co z tego? I tak was zamkną, nie przed, to podczas zjazdu.

Targowiak wypił kieliszek, zagryzł, otarł usta.

— Walczyć trzeba do końca, Krupa, i dlatego nie masz racji. Twoja zasługa było powstanie partii. Pamiętałeś, trzydzieści tysięcy przestaje być zbieraniną, gdy ktoś kieruje. Interes KPP był w tym taki sam, jak nasz własny. Nie zrozumiałeś tego. Centrolew, my, chłopskie partie, to już sprawa przyszłości. Reakcja władz była wynikiem słabości, nie siły. Cień KPP? Zgoda. W obliczu groźby wojny, faszyzmu, innego wyjścia nie ma. W przeciwnym razie zginiemy nas.

— A tak nie zginiemy?

— Zostaną ludzie. Zawsze zostaną, czy my z tobą będziemy, czy nie.

— Ogłosiliście mnie prowokatorem.

— A twojej deklaracji o kontaktach z KPP nie pamiętasz?

— Nikogo nie sypalem.

— Sypałeś wszystkich.

— Zabię cię jak psa.

— Sytuacja się nie zmienia. Wiemy, że nie jesteś agentem policji, lecz działaczem, który się załamał. Nie musisz wracać do nas. Masz jednak szansę okazać się lojalnym. Potwierdź albo zdementuj pogłoski o tobie.

Zdjęcia ze Zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego.





Widziałem w życiu wiele awangardowych i pseudoawangardowych realizacji teatralnych i parateatralnych, dobrych i bardzo złych. Niedawno oglądałem w Warszawie najstarszy teatr awangardowy na świecie, założony w roku 1948 w Nowym Jorku — „Living Theatre”. „Antygona” w ich wykonaniu to wielkie wydarzenie artystyczne. Myślałem o tamtym spektaklu jadąc w chłodną, deszczową niedzielę WDK-owskim „roburem”. Wraz ze mną — piętnaście osób, które jak ja nie wiedziały dokładnie dokąd zmierzamy i kiedy wrócimy. Mieliliśmy być świadkami zdarzenia... czego... właśnie tego — nikt z nas jeszcze nie wiedział. Ale właśnie ta tajemniczość budziła dreszcze emocji, powątpiewanie.

Dojeżdżamy do Dobrego Lasu. Światła samochodu wyluskają z mroku postać brodatego mężczyzny, który nas zatrzymuje, witając w imieniu grupy teatralnej „Gardzienice”. Wjeżdżamy na boczną drogę do wsi. Tutaj musimy opuścić wóz i wybić, rozmiękłą drogą iść dalej na piechotę. Gdzieś tam rozbiły się światła latarek, oświetlają kałuże. Jak się okazuje, celem naszym jest klub „Ruch”. Zaduch — zimno, na wieszaku wiszą gazety sprzed kilku tygodni. I znów oczekiwanie. Nikt nie wie. Nagle ktoś informuje, że aktorzy znajdują się obok w chacie i nawiązują kontakt z miejscową ludnością. Nasza obecność może krępować tutejszych mieszkańców i dlatego nas nie poproszono. Wymykam się z klubu; pragnę w tym uczestniczyć. Omijam po drodze kilku pijanych wyrostków i wchodzę do wskazanej mi przez nich chałupy. Tłok. Z trudem przedzieram się przez zwarłą gromadę i... nagle jestem w środku „zdarzenia”.

Mebel z izby wyniesiono. Na ławach, pod ścianami rozsiadli się starzy, dzieci wraz z aktorami siedzą na podłodze, młodzież tłoczy się w drzwiach. Pani Weronika Ulatowska śpiewa kurpiowską pieśń, refren powtarzają wszyscy zebrani. Nikt się nikogo nie krępuje. Gdy milknie, inną melodię podejmuje aktorzy. Są to pieśni zebrane w innych regionach kraju. Atmosfera wspólnej zabawy, wiejskiej rodzinnej biesiady. Czuję, jak z każdą chwilą powstaje nieuchwytna, a przecież wyraźnie odczuwalna więź między tymi, co tu przybyli, a mieszkańcami wsi.

W chacie na drugim krańcu wsi inna grupa aktorów — różnych narodowości: z Hiszpanii, Włoch, Austrii, Ameryki i Chile. Nie znają na-



Rysunek Stanisława Kędziewskiego

szego języka. Jak docierają więc do ludzi ze wsi, jak nawiązują intymny kontakt? Po tym, co zobaczyłem w tym domu, wiem już jednak, że zespół potrafi zdobyć sobie sympatię. Idziemy. Ciemno. Wioska jakby wy-

strzegam na dużym piecu resztki upieczonych ziemniaków. Przygniatające wrażenie ubóstwa. I w tej scenarii — hiszpańska pieśń. Ludzie zasłuchani w przejmującą melodię. Nie znam tego języka tak samo, jak te

## Rabelais w Dobrym Lesie

maria, tylko w kilku chałupach pali się światło. Zamglony księżyc zawisł nad cmentarzem. Dwóch chłopaków prowadzi nas gdzieś daleko, aż w końcu słyszymy śpiew. Dobiega on z izby tonącej w półmroku. Wchodzimy. I znów tłok. W olbrzymim pomieszczeniu, które spełnia rolę kuchni, sypialni i pokoju gościnnego do-

kobiet o zniszczonych twarzach, przysiadła na ławach. Ale to nie ma tutaj większego znaczenia: chodzi o nastrój jaki powstaje. Tak samo aktorzy wsłuchując się w pieśni śpiewane przez kobiety starają się wglębiać w ich ukryty sens, w tajemnicę kurpiowskiej melancholii. Ścisnięci na ławach ludzie zdają sobie sprawę,

że uczestniczą w czymś bardzo niezwykłym. Oni nie wiedzą, że tak właśnie kiedyś wyglądał teatr. Jego istotą było pełne uczestnictwo, nie było podziału na widza i aktora. Czyżby próba podróży do źródeł zapomnianej już kultury, kiedy sztuka nierozdzielnie łączyła się z życiem?

Po dwóch godzinach spotykamy się znów przed miejscowym klubem. Minęła już godzina 22.00. I znów oczekiwanie, zniecierpliwienie. Nagle naprzeciw, na niewielkim wzgórzu zapalają się pochodnie; z mroku wylania się biały, podłużny prostokąt tkaniny. Od niego kółko rozchodzi się żarzące ognie pochodni, wyznaczając na łące krąg sceniczny. Za tą symboliczną „kurtyną” — na wzgórzu, ubrana na białą postać zaczęła improwizować na saksofonie przejmującą melodię. Jej watek podjął następnie zespół muzyczny. W dali, za białą zasłoną zapalają się kolejne światła. Narasta muzyka. Przed widownią pędem wtacza się wózek pchany przez aktorów. Niektórzy z przerażeniem cofają się kilka kroków. Rozpoczyna się widowisko.

Obserwuję twarze gospodyń, ich reakcje. Najpierw nieśmiało, potem coraz żywiej nawiązują dialog z aktorami, dają się unieść rytmowi spektaklu. Groza i zamyślenie przepłatają się ze szczerymi wybuchami śmiechu. W to widowisko wprowadzone są elementy sztuki cyrkowej, niewykonalne bez odpowiedniego przygotowania, jak np. przypalanie ogniem aktorki, skakanie przez płonące obręcze, unoszenie się na wysokich szczytach. Efekty te prowokują do wspólnej zabawy.

Ośrodek Realizacji i Badań Praktyk Teatralnych Stowarzyszenia Teatralnego, mający swą siedzibę we wsi Gardzienice pod Lublinem zrzuca z przyjętymi konwencjami. Ich realizacje — to teatr żywy, który staje się świętem, życiem, obrzędem — a więc wraca do tego, co powinno być źródłem i istotą teatru. Kreaacja w Dobrym Lesie została co prawda zbudowana na gotowych sekwencjach Franciszka Rabelais „Gargantua i Pantagruel”, wpleciono w nie jednak miejscową tradycję. Wytworzyło to nowe, niepowtarzalne sytuacje: mogące się zdarzyć tylko tu i nigdzie więcej. Powrót do głębokich pokładów autentycznych odczuć i reakcji, których nie zafalszowała do końca nasza cywilizacja był tu możliwy do zrealizowania.

JAN KULKA



### DZIEJE ŁOMŻYŃSKIEGO WIĘZIENIA

niom Wielki Manifest o amnestii. Dalej ustawiono wszystkich w różnych szeregach pod więzienną rotundą, na której wyeksponowano portret miłośnicze panującego imperatora Mikołaja II, a sam asesor gubernialny wygłosił przemówienie.

Wieczorem obsługa świętowała w iluminowanych budynkach nadzoru i administracji, a na balkonie naczelnika wisiały ukwiecone portrety

świat w trakcie, gdy ojciec siedział w więzieniu. Wojskowni skrócono pobyt o 3 miesiące i 15 dni.

Jeszcze jedno wydarzenie zbulwersowało społeczność za murami w pierwszym kwartale roku 1913. 5 marca z Zarządu Gubernialnego nadeszło do naczelnika więzienia pismo:

„Prosimy Waszą Wysokość o przedstawienie protokołu... przestłuchania

## „Przy pełnym żołądku rośnie miłość do Najjaśniejszego Pana”

Mikołaja II i pierwszego z dynastii Romanowych — cara Mikołaja Fiodorowicza. Więźniów nakarmiono tego dnia suta strawą tak, że „chwalili Jego Wysokość” — jak pisał w sprawozdaniu naczelnik.

Następnego dnia urządzono im pogadankę, ilustrując ją zdjęciami carów i cesarzowych. Poczyniono także staranie o „zamieszczenie opisu uroczystości w Łomży w prasie warszawskiej i petersburskiej”. Nie piszą urzędnicy czy sprawdził się aforyzm: „Syci niewolnicy są najzacieklejszymi wrogami wolności”.

W związku ze wspomnianym manifestem 70 mężczyznom i 22 kobietom skrócono okres pobytu w więzieniu. Jednym z nich był Józef Wojskowny z gminy Leitsuny w powiecie sejneńskim, skazany na karę trzech i pół roku więzienia za kryzysowoprzysięstwo. Ponad 9 miesięcy przebywał on w pojedynczej celi. W domu zostawił żonę i ośmioro dzieci, z których najmłodsze przyszło na

Michała Rutkowskiego, i innych, gdzie i w jakich okolicznościach więźniowie i towarzyszący im strażnicy upili się w drodze do więzienia”. Podpisał — sam — wicegubernator. Trudno zapewne było władzom więziennym tłumaczyć ten fakt chęcią — na przykład uczczenia 300-lecia „Domu Romanowych” — bo zaplanowało milczenie. 22 marca gubernator nadesłał pismo ponagające, zwracając do niezwłocznego przedstawienia danych w powyższej sprawie. A protokół przestłuchania był następujący:

„Do więzienia przewożono 7 osób z Rogienic. Towarzyszył im strażnik więzienny. W Łomży na Starym Rynku postanowili (kto był inicjatorem? — protokół nie wspomina) wstąpić do karczmy. Na drogę żony wręczyły niektórym z więźniów po butelce spirytusu. Spirytus ten został w trakcie podróży wypity”.

Z zeznań wynika, że w karczmie Zepka lub Zenka — protokół jest

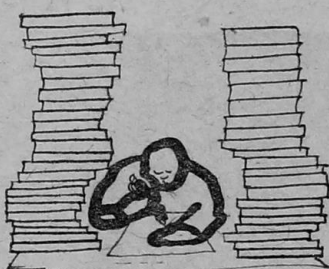
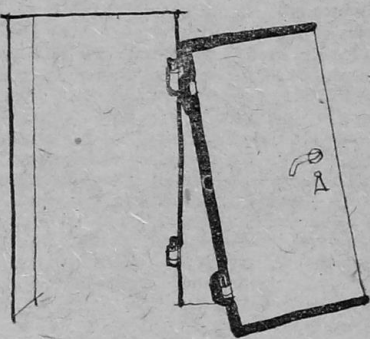
trudno czytelnym rękopisem — całą kompania wypila 6 ćwierćlitrowych butelek wódki i 4 butelki piwa. Razem z domowym spirytusem była to dawka tak duża, że w dalszą drogę do więzienia aresztanci i strażnik udali się w miarę równym krokiem, ale za to z pieśnią na ustach. Tam wpadli w objęcia obsługi i wszyscy znaleźli się w chłodnym karczerze. Po paru godzinach wytrzeźwiali.

Pierwsze miesiące tego roku zamyka sprawozdanie lekarza więziennego, który 23 marca pisał: „W więzieniu łomżyńskim przebywa: 27 chorych na gruźlicę, 42 cierpiących na niedokrwistość ze skłonnością do gruźlicy, 33 osoby osłabione — razem 102 osoby chore, na około 350 więźniów. Plagą łomżyńskiego (i nie tylko tego) była gruźlica. Walczono z nią, bo śmiertelność z tego powodu niepokojąco rosła, ale głównie na papierze. Zalecano na przykład precyzyjnie ustalać liczbę aresztantów, którzy zapadali na tę chorobę, w okresie przed osadzeniem w więzieniu. Zestawienie takie sporządzono na koniec każdego kwartału. Proponowano także wznosić (o ile są na to środki finansowe, a tych zawsze brakowało) oddzielne budynki pomocnicze dla chorych więźniów lub umieszczać ich w specjalnych celach. Tyle oficjalne pisma. W praktyce nie przewidywano nawet zwalniania, choćby okresowego, na leczenie więźniów chorych na gruźlicę. We wspólnych celach z chorymi siedzieli dzieci. W 1913 roku w łomżyńskim więzieniu przebywało 18 niepełnoletnich. Trzynastu z nich skazano na okres 3 miesięcy, pozostali mieli większe wyroki. Siedzieli w takich samych warunkach, byli tak samo traktowani jak dorośli. Nie prowadzono dla nich żadnej nauki.

TERESA POLECKA  
MIKOŁAJ JEDNACZ



## DYSKUSJA



O DYSKUSJI.

DLA  
DYSKUSJI

BEZ DYSKUSJI

Rysunki Jerzego Dobrzyńskiego

## Z DRUGIEJ STRONY CZASU

Co robić w długie jesienne wieczory na wsi? Telewizji się praktycznie nie ogląda, bo jakaś taka fałszywa. Niby gada się tam dzisiaj inaczej, po nowemu, ale co z tego, kiedy robia to ci sami ludzie, co i przed kilkoma miesiącami. U nas mówią, że po nowemu powinni mówić nowi ludzie.

Telewizji nie ogląda się także i dlatego, że wyłączają nam regularnie prąd. Na godzinę, albo dwie. Mamy z tego powodu wiele korzyści, bo się człowiek po próżnicy nie denerwuje a może w spokoju i ciszy, przy świetle lampy naftowej, albo świecy podumać sobie o tym i o owym, a także poczytać gazetę, czy książkę. Chrzestny kartkuje aktualnie „Zmierzch” Putramenta, za którym ja osobiście nie przepadam. Putrament pisze, co prawda, dosyć składowo, wartko i potocznie, ale jest to pisanie specyficzne. Putrament, nie wiedząc zupełnie o tym, przeistoczył się w ogromną rybę. Podejrzewam nawet, że jest to szczupak-samotnik, spryciarz nie lada. Takiego szczupaka nie złowić byle wędkarz, takiego szczupaka prawdopodobnie nikt nie złowi, nawet i sam Putrament!

Podejrzewam, że gdyby Putrament nie był w życiu zapalonym wędkarzem, gdyby jego wiosenne dni i noce poświęcone były innym zainteresowaniom, podobnie letnie i jesienne ranki i wieczory, jego pisarstwo miało być dziś inny ciężar gatunkowy. Może nawet na miarę nagrody Nobla? Tymczasem zgubiło go lekceważące traktowanie wszystkiego, co nie jest rybą. Bo nie podejrzewam, żeby szczupak mógł interesować się czymkolwiek innym poza okoniami, płotkami i karaskami. Bez względu

na pociągami i samolotem. Szczupak dobrze czuje się w swoim bajorku, ale często wypuszcza się na łowy w obce strony. Co prawda, nie wszędzie można polować, ale szczupak potrafi sobie załatwić pozwolenie.

Pisząc te słowa, przychodzi mi na myśl jeszcze jedna paradoksalna koncepcja. U Putramenta zespoliły się ze sobą dwie wielkie postacie; dwa ogromne mity, o których uczeni mogliby pisać wiekopomne dzieła. Wielka Ryba uwięzła w swoim brzuchu Wielkiego Łowcę Wielkich Ryb.

zanę. Zerwie się jeden, będzie na jego miejsce drugi.

Czasami wydaje mi się, że z tym polowaniem oni tylko udają. Że to jest jakaś umówiona, niezrozumiała dla nas małych wieśniaków gra. Wielki szczupak mógłby dawno połknąć Wielkiego Rybaka, a ten z kolei wiadomymi sobie sposobami wyciągnąć z wody Swoją Największą Rybę.

Dlatego właśnie nie czytam Putramenta, bo wydaje mi się, że on i we mnie, czytelniku, widzi mizerne go okonka, który się złapie na jego haczyk, bądź też trafi do jego przepastnego, szczupaczego żołądka. A prawdę mówiąc, z tych dwu możliwości nie odpowiada mi żadna.

Nie czytam go również dlatego, że zarówno Wielka Ryba jak i Wielki Wędkarz czynią bardzo dużo działań pozornych. Są aktywni, udzielają się, o coś walczą, przemawiają, opiekują się młodym narybkiem, piszą przemówienia innym. Dyskutują nad czymś, czuwają, coś budują. Tymczasem jak to już opisałem wcześniej, jest to jedynie teatr. Wszystko bowiem sprowadza się do ich prywatnych porachunków. Wszystko podporządkowane jest egoistycznej pasji przejścia przez życie z wędką w ręce.

TADEUSZ MOCARSKI

## nie czytam Putramenta

na to, gdzie się taki szczupak znajduje. W nurtach rzecznych, czy na sali obrad. Szczupak nie może pamiętać tego, kto akurat przemawiał, co mówił, zna natomiast doskonale wymiary każdej zjedzonej rybki. Wie ile mierzyła centymetrów, jaką miała wagę.

Wygodnictwo olbrzymiego szczupaka, a może nawet jego dyplomatyczne lenistwo przysparza mu splendoru i chwały. Zastyga w bezruchu, ni to śpi, ni to czuwa, ale kiedy nadarzy się kąsek — rzuca się na niego i pożera. Posługuje się przy tym bardzo szybkim samochodem, czasu-

Chociaż mogłoby być także odwrotnie. Nie można ustalić czego jest więcej w tej gmatwaninie spinningów, blach, pletw, ogonów. Ale nie to jest w końcu najważniejsze. Zarówno Ryba jak i Człowiek dysponują podobnym arsenalem środków. Prowadzą nie tyle własną grę, ile politykę, która daje im szansę dostatniego życia w każdej sytuacji. Na brzegu i pod wodą. Wielka ryba potrafi się szybko przystosować. Zmienić menu. Zaspokoić głód żabą, czy lyską. Wielki wędkarz nosi w swojej torbie dziesiątki blach i haczyków, przynęty i



Rysunek Marka Polańskiego

## NA PIĘCIOLINII

W ramach reformy oświaty, wprowadzającej powszechną szkołę dziesięcioletnią, poczyniono niegdyś szereg zmian w nauczaniu muzyki i plastyki. Zreformowano je i — jak z wieloma rzeczami bywało — na tym sprawa utknęła. Utknęła, bo utknąć musiała, skoro reformowano nie patrząc na realne warunki, umożliwiające normalną realizację. Minister od reformy odszedł, pozostała utopia, nad którą męcza się nie tylko nauczyciele, ale również uczniowie. Program nauczania muzyki — jeśli ktoś się z nim zetknął — przeraża musi nawet studentów muzykologii, i choć o tym niejednokrotnie pisano i mówiono, efekt pozostał ten sam. Nauczyciele i fachowcy swoje, góra swoje.

Program jest tak ułożony, by po skończeniu kursu wyszedł człowiek niemalże wszechstronnie wykształcony muzycznie, chociaż od takich

zabaw są odpowiednie szkoły, zaś uczeń dziesięciolatkę w pierwszym rzędzie powinien mówić i pisać poprawnie po polsku oraz dokonywać prostych działań arytmetycznych, ułatwiających codzienne bytowanie. Umuzycznianie społeczeństwa nie powinno się przeprowadzać metodą zniechęcania, a do takich efektów prowadzi ów program. Jest więc w nim miejsce na słuchanie muzyki, rytmikę, analizowanie utworów,

## fletów prostych brak

naucze historii muzyki i dziesięciu jeszcze innych rzeczy; nie ma na zwykły śpiew, bo tę formę uznano za staroświecką. Widocznie komuś tam śpiewanie skojarzyło się z „Góralu, czy ci nie żal”, a wiadomo, że ta pieśń przywodzi na myśl gorzałę i niewybredne zachowanie.

Mało logiczne przeładowanie programu — zwłaszcza w kontekście programów nauczania innych przed-

miotów — to jedno, zaś warunki pozwalające na minimalne przynajmniej wcielenie go w życie — to drugie. Grono układające wytyczne nie było chyba nigdy w sklepach muzycznych, nie mogło więc wiedzieć, że brakuje w nich, co ja piszę — nigdy prawie nie ma: fletów prostych, melodyk, akordeonów, całego zestawu instrumentów perkusyjnych, cymbalków, że o pianinach nie wspomnę, bo wstyd. Dalej: nie

ma adapterów, płyt, możliwości przegrywania na taśmę magnetofonową, potrzebnych podręczników, o czym zresztą wszyscy wiedzą. Na palcach policzyć można szkoły muzyczne, które mają odpowiedni zbiór płyt i taśm, a co dopiero powiedzieć o zwykłych placówkach nauczania?

Reforma jest realizowana przy totalnym niedoborze nauczycieli przedmiotu; jeśli możliwość spełnie-

nia podanych wcześniej warunków może wywołać apatię, to brak fachowców — potężną frustrację. Wiadomo bowiem powszechnie, że na pełną liczbę jako tako wykształconych znawców przedmiotu przyjdzie nam jeszcze poczekać parę lat, zwłaszcza że nie wszyscy z nich idą do pracy pedagogicznej. Gdzie indziej nie trzeba walczyć z brakiem książek, instrumentów, żeby zarobić swoje trzy tysiące złotych. Tak więc nadal lekcje muzyczne prowadzone są przez panią, która 15 lat temu śpiewała w chórze szkolnym, i pana od polskiego, któremu brakuje godzin do pełnego etatu.

Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nie chce robić sobie kłopotu z kolejnymi zmianami; jakoś to po cichu się toczy, a z umuzycznienia dzieci w szkole nikt nas nie będzie rozliczał. Chyba że historia, ale to już zupełnie inna sprawa.

JAN JANUSZEK







## Reporter odwiedził Bohdana Czeszkę w jego leśnym ustroniu na Mazurach. Tekst jest montażem wypowiedzi pisarza.

— No tak... Bardzo przyjemne jest to wnętrze. Zrobiłem taką skrzynię, przedmiot, którego się już dzisiaj prawie w ogóle nie używa, ale ja mam masę drobnych kłopotów, które mi się pętają pod nogami, więc postanowiłem zrobić skrzynię, żeby wreszcie gdzieś ułokować. Muszę jeszcze wieko do niej skleić. Tutaj mam taką dechę, bardzo fajną, muszę ją tylko poszerzyć trochę. Wkręcimy ją w warsztat, hm, warsztat... Zawsze się śmiałem z tego puryzmu naszych rzemieślników, którzy nie mieckie nazwy większości narzędzi stolarskich, i nie tylko stolarskich, postanowili spolszczyć. Warsztat nie nazywa się teraz „warsztat”, tylko „lawa stolarska”. Pan Kapron, u którego byliśmy, powiada tak: „Dzisiaj jest ława stolarska i mistrz, a dawniej był warsztat i majster, tylko że dzisiaj jest partanina, a przedtem było rzemiosło”.

Zobaczmy, czy ten strug chodzi jeszcze. Może go trzeba będzie naostrzyć. Nareszcie jest trochę pogody. Do uprzykrzenia lato w tym roku; od maja, jak tu jestem, a nawet od kwietnia. Trawę rzeczywiście trzeba by skosić, ale nie mam zdrowia. Tyle tej roboty jest tutaj, że jedna druga goni. Kupiłem szczeniaka do pilnowania domu. To jest skundony wilk. Zobaczymy, co z niego wyrośnie, bo to nigdy nie wiadomo, tak jak z ludźmi.

Wczoraj wziąłem się za żywopłot. Będzie musiał go dzisiaj dokończyć, bo znowu zdrewnienie mi to wszystko i na przyszły rok już rady nie dam tą maszynką. Będzie musiał przycinać chyba piłą. Myślałem, że zrobię sobie tutaj chałupę, to bukoliczny tryb życia będę mógł prowadzić; jak u Reja. Gospodarz wychodzi w pole, a tu mu rośnie, tu dojrzewa, ptaszki śpiewają. Pójdę ze strzelbą do lasu, dzika strzele... Nic podobnego! Ha! rówka od rana do nocy. Z biegiem czasu zaczęło jej być za dużo. To wszystko mnie no trochę przerasta; wszystko, co tu dużo gadać — człowiek już nie ma tych sił, co dawniej. Kiedyś, na przykład, koszenie trawy sprawiło mi wielką przyjemność. Lubilem to robić. Teraz myślę z obrzydzeniem, że znowu będę musiał naklepać kosę i chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem, kłaść te pokosy... Nie chce mi się. Zdziałałem.

Tak narzekam nieco, ale jak sobie pomyślę o tym, że muszę pojutrze pojechać do Warszawy, bo takie konieczności zaistniały, to obrzydzenie mnie ciężkie ogarnia. Po prostu nie mam tam czym oddychać. Każda

czynność, każde załatwienie — w końcu nieskomplikowanych spraw — wymaga ode mnie wyężenia wszystkich sił duchowych. Zdycham w tym mieście. Wszyscy mówią o środowisku, że wielkomiejskie, że nie można w nim wytrzymać, bo smród spalin i tlenek węgla, że jesteśmy otruci, że pijemy złą wodę i tak dalej, a tu nie o to chodzi. Mnie wielkie miasto zaczyna przynosić w sensie psychicznym raczej, niż biologicznym. To nie jest moje miasto. Pisałem o tym. Może to, co powiem, wyda się gorzkie i niesprawiedliwe, bo zostało ono z potwornym wysiłkiem odbudowane i żyje, ale ja chyba nie umiem docenić jego piękna. Z żoną mamy M-3; wzięliśmy dwa pokoje z kuchnią, bo więcej nam nie starość nie potrzeba. Dzieci się pożyli i są na swoim. Mieszkamy w

reca mnie właśnie pobyt w Warszawie. Uciekam na Mazury, jak tylko mogę. Nauczyłem się tutaj pisać. Nie mam już dwudziestu lat, kiedy mogłem pisać byle gdzie: na bulwarach nad Wisłą, w Ogródzie Saskim, w Łazienkach — wszystko jedno, byleby miał gdzie usiąść, kawałek papieru i coś sztywnego do podłożenia. Teraz muszę się przyzwyczaić do miejsca, a każda jego zmiana wybija mnie z uderzenia.

Na Mazurach z początku trochę mi przeszkadzało piękno tego miejsca i zbyt dużo zajęć obocznych, którymi chętnie usprawiedliwiałem fakt, że nie piszę. Ale już się przyzwyczaiłem. Jest cisza, spokój. Na pewno nie zadzwoni telefon i nie wybije mnie na godzinę lub dwie z rytmu roboty. To też ma swoje dobre strony. Ja bym już chyba dawno zdechl, gdyby nie te Mazury. Teraz jest moda na tak zwany drugi dom, ale kiedy myślę, co jest moim pierwszym, a co drugim domem, to jestem w rozterce. Wydaje mi się jednak, że moim pierwszym domem jest ten na Mazurach, a do Warszawy jadę zimą, kiedy są utrudnienia komunikacyjne. Ale gdyby mi przyszło tutaj mieszkać na stałe, wcale nie czułbym się pokrzywdzony. Przeciwnie. Raz spędziliśmy tu z żoną okrągły rok. Nie była to najgorsza zima w moim życiu. Taak.

Wylezie człowiek rano, poodycha prawdziwym powietrzem... Tak, tutaj jest święty spokój. Poza sezonem letnim, kiedy ludzie przyjeżdżają i bywa trochę zgiełku w leśniczówce. Ale ludzie gdzieś muszą w końcu odpoczywać. Maj, wrzesień, czy jak teraz, październik są tutaj cudownymi zupełnie miesiącami. Nie można porównać z niczym możliwości odpoczynku i pracy tutaj.

Mało podróżowałem w moim życiu. Może to wydać się dziwne, ale nigdy nie byłem we Francji, Włoszech, Hiszpanii, Grecji, czyli w tych krajach, do których właściwie humanista, pisarz, intelektualista powinien pojechać. Jakoś mi się nie zdarzyło. Może to i sprawa braku pieniędzy, ale nie tylko. Jak sobie pomyślę, że miałbym pojechać do Włoch czy do Grecji i tam ścibolić te cieniutkie dewizy, które bym miał na pobyt, i w charakterze turysty oglądać te wszystkie znane rzeczy, to taki wyjazd wydaje mi się absurdalny. Nie chce mi się zaliczyć tych wspaniałości trybem turystycznym, a innych możliwości nie mam. Kiedyś, gdy byłem młody i chciałem, to nie wysłało. Trudności z wyjazdem za granicę były potworne i właściwie poza wyjazdem w delegację czy w ramach wymiany kulturalnej — innych szans nie było. A teraz już sobie daruję.

Właściwie nie mi do szczęścia nie potrzeba, jeśli mogę przebywać na Kierzk, o co walczę i twardo będę walczył. Sądzę, że to jest jedyny sposób na jakieś sensowne spędzenie re-

latego sobie je cenię. Mam tutaj warsztat stolarski. Kiedyś nabyłem umiejętności rzemieślnicze; a w czasie okupacji zdałem egzamin czeladniczy i jestem zarejestrowany w Warszawskiej Izbie Rzemieślniczej (o ile te dokumenty ocalały) jako czeladnik stolarski. Zaczynam dzień od wykonywania różnych prac stolarskich. Już wykonałem wszystkie prawie przedmioty, które są mi potrzebne. A ponadto zawsze istnieją jakieś zamówienia warszawskie. To zięć, a to syn zgłaszają zapotrzebowania. Lubię je wykonywać solidnie. Nie znoszę partactwa.

Zajrzał tu do mnie kiedyś Wiesiek Górnicki, znany skądinąd reporter; akurat wtedy zrobili okna na ganek. On kiedyś pracował razem ze mną w stolarni. Zdziwił się: „Bohdan jeszcze nie zapomniał tego wszystkiego?” Mnie akurat nie było; poszedłem do lasu chyba. Później rozmawialiśmy na ten temat. Mówił mi: „Nie szkoda ci na to czasu? Zapłaciłbyś stolarzowi, to by ci zrobił, po co się z tym babrzesz?”. I wszyscy tak, ktokolwiek tu przyjeżdża z moich kolegów-intelektualistów, zobaczy, że ja coś dłubię, dziwi się i powiada, że to czysta strata czasu i że powinienem pisać, a nie zajmować się dłubaniem w drewnie. Mnie samego czasami nawiedzają takie myśli, że może szukam usprawiedliwienia dla mojego pisarskiego nierobstwa w tym dłubaniu. Ale sądzę, że nie można sobie zadawać takich pytań i stawiać takich kwestii. One nie mają racji bytu. Są absurdalne z logicznego punktu widzenia. Niby dlaczego mam sobie odmawiać przyjemności dłubania w drewnie i robienia jakichś konkretnych przedmiotów? Dlatego tylko, że posiadam umiejętność pisania po polsku? I choć wszyscy powiedzą, że powinienem pisać, pisać i jeszcze raz pisać, ja uważam, że jedno drugiemu nie przeszkadza, a przeciwnie — pomaga. Wiele pomysłów i wiele refleksji na temat tego, co piszę, właśnie przychodziło mi do głowy przy, zdawałoby się, tej mechanicznej robocie, jaką jest dłubanie w drewnie. Poza tym głęboko myli się ten, kto sadzi, że ta praca jest bezmyślna. Błada temu, kto nie myśli przy robieniu czegośkolwiek w drewnie, ponieważ zaraz sknoci. To samo zresztą dotyczy pisania.

Przy robocie stolarskiej nasuwają mi się takie myśli dziwaczne. Otóż na przykład, mam tutaj hebel, przepaszam — strug to się nazywa po polsku. On mi się wydarł. Po prostu szpara, przez którą wychodzi ostrze, zrobiła się zbyt szeroka. Podeszwa tego struga zdarła się od roboty. Musiałem wstawić łatę. Zrobiłem to z gruszkowego drewna, twardego. Przy tym lataniu nagle, niespodziewanie, nawiedziły mnie myśli o przemianach. Zdałem sobie sprawę, że ile już lat musiałem drzeć tym heblem, zrobionym przecież z grabowego drewna, bardzo twardego, o inne drewna, bardziej miękkie, żeby on się na tyle wydarł. Egzystencjaliści mówią, że jesteśmy — niewinnie — skazani na śmierć... Zresztą, mój Boże, i tak te wszystkie lata są darowane, bo — podobnie jak wielu ludzi mojego pokolenia — żyję po prostu dzięki setkom, jeśli nie tysiącom, korzystnych dla mnie zbiegów okoliczności; jak całe to pokolenie Kolumbów. Bo mam przecież wielu znajomych, przyjaciół i kolegów, których doświadczenia są zbite z moimi. Niedaleko stąd, na przykład, w podobnych warunkach, w podobny sposób, pomieszkuje sobie Roman Bratny, autor określenia „Kolumbowie” w odniesieniu do pokolenia kombatanów wojennych, roczników wczesnych lat dwudziestych. Akurat Romek Bratny jest człowiekiem niezmiernie aktywnym i pisarsko, i — że tak powiem — w sensie politycznym. Ciągłe stara się być gdzieś obecny i nie schodzić z rynku; rynku w sensie greckiej agory. Chce być widoczny. Może jest mu potrzebny ten bezustanny kontakt ze sprawami i ludźmi. Ja mam inną konsystencję psychiczną: mam agorafobie. Dla mnie konieczność przebywania pomiędzy ludźmi, na widoku, w tłumie, wśród załatwiania spraw jest potwornie męcząca. Po prostu tego nie lubię; to wymaga ode mnie przełamywania znacznych oporów. Nie zawsze zresztą jestem przekonany, że to przełamywanie się, ta moja ewentualna obecność cokolwiek znaczy. Takie mam doświadczenia, zresztą smutne doświadczenia, i dlatego może unikam aktywności zbyt eksponowanej.

TOMASZ PIOTROWSKI

## niewinni skazańcy

bloku; nawet dobrze wybudowanym, jeśli wziąć pod uwagę standard nowoczesnego budownictwa — myślę o jakości tych wszystkich rzeczy, które zostały wykonane. No, poza stolarką. Ja mogę jestem uczulony na tym punkcie specjalnie, ale rzeczywiście została spartaczona, co tu będziemy dużo gadać. Złazszcza wszystkie okna. Są zrobione poniżej wszelkiej krytyki. To nie są żadne otwory. Ja chętnie bym je powymieniał, wykonał sam i nawet takie same, żeby nie niszczyć architektury podłogi, w którym mieszkam, rytmu tych otworów, ale zrobiłbym to tak, żeby się do diabła, zamykało i otwierało. No, to są drobniaki, ale przecież życie składa się z drobniaków; one utrudniają nam dni i wpędzają w te nieustanne stresy. Co tu dużo gadać. A miasto rzeczywiście nie jest moje. Mieszkam zimą w potwornym mrowisku, znam nawet kilku sąsiadów, ale co z tego, kiedy cała rzecz zaczyna się i kończy na „dzień dobry” i „do widzenia”. Ludzie omijają się, przechodzą, spotykają na schodach, na parkingu czy na podwórzu, i na tym się wszystko kończy. To miasto jest zatłoczone. Nie ma w nim tej atmosfery i tego ducha, który po łacinie nazywa się genius loci — duch miejsca. A pamiętam, że coś takiego istniało, i dlatego być może ud-

szty życia. Zresztą tutaj już ułożył się program dnia, to znaczy: życie nabrało rytmu i tętni nim — poza chwilami, kiedy zjeżdżają do mnie dzieciaki ze swoimi dziećmi. Wówczas jest trochę zaważania głowy, chociażby z wyżywieniem tej gromady ludzi. To wymaga ogromnych starań i tak zwanego załatwiania, bo życie nasze nie jest przecież normalnym, tylko życiem ludzi załatwiających różne rzeczy. To, co gdzie indziej nazywa się czynieniem zakupów, u nas jest załatwianiem. Począwszy od rolki papy, a skończywszy na samochodzie czy czymś takim. Kiedy tak patrzę wstecz, uświadamiam sobie, że od momentu wyrośnięcia dzieciaków z wieku szkoły podstawowej całe moje życie polega na załatwianiu; na załatwianiu różnych drobnych rzeczy. Ten fakt także mógłby służyć za argument, gdyby mnie kto pytał, dlaczego właśnie Kierzek. Tu jest stosunkowo mało potrzeb załatwiania i właściwie nie ma możliwości załatwienia czegośkolwiek; więc się nie załatwia. Trochę więcej czasu pozostaje na zajęcia normalne, ludzkie.

Jeszcze jedno tutaj mnie trzyma: drewno. Tu jest drewno, i to ładne, dobre, ciepłe i bardziej, rzekłbym, w swojej konsystencji antropocentryczne. Jest przyjazne człowiekowi i





STANISŁAW TOMASZEK: — Niedawno zarzucił nam Pan, że „Kontakty” dostrzegają tylko słabe strony łomżyńskiego sportu, natomiast sukcesów nie widzą. A przecież mamy dość przykładów na to, do czego prowadziła propaganda, często wątpliwego, sukcesu.

**SLAWOMIR GRYGO:** — Rzeczywiście deformacja i przekłamywanie faktów w jakakolwiek stronę prowadzą do fałszywego obrazu rzeczywistości i chorobliwego samouwielbienia lub frustracji. Jestem za informacją wyważoną, a krytyka pozytywną, w której dostrzega się dobre i złe strony opisywanych zjawisk. To dobrze, że „Kontakty” zrezygnowały z zamieszczania tabel, a zajęły się mechanizmami funkcjonowania sportu i ludźmi, którzy te mechanizmy wprowadzają w ruch. Brakuje mi jedynie, dla równowagi, sylwetek i dorobku tych przedstawicieli łomżyńskiego sportu, którzy nie liczą prywatnego czasu, aby ta dziedzina życia i działalności człowieka miała szanse rozwoju na równi z innymi.

— Skąd zatem przekonanie wielu cyników, wyrażane w kategoriach nieco krańcowych, że sportu w Łomży nie było i nie będzie?

— Musimy najpierw sprecyzować, co cynicy rozumieją pod tym pojęciem: licząc się w kraju wyniki czy w ogóle uprawianie przez jak największą ilość młodzieży tych dyscyplin, do których mają predispozycje, chęci i bazę. Te trzy warunki (lecz również parę innych) sprawiają, że dobrych wyników w piłce nożnej nie odnotowujemy, natomiast mamy w II li-

nie wystarczy. Tenisiści stołowi, na przykład, jako jedną z przyczyn spadku ich zespołu do II ligi wymienili brak sali treningowej. Trenerzy z innych dyscyplin również od lat narzekają na niedostatki bazy.

— Mają rację, lecz my nie jesteśmy w stanie rozwiązać tego problemu natychmiast. Dotacje, jakie otrzymujemy na kulturę fizyczną z budżetu państwa, nie są wystarczające. Większość przedsięwzięć inwestycyjnych realizujemy systemem gospodarczym. Budujemy baseny kryte w Łomży, Szczuczynie i Ciechanowcu, powolon z miejscami noclegowymi i kabiną sprawozdawczą na boisku łomżyńskim; remontujemy jego płytę. Kończymy stadion w Żambrowie, modernizujemy w Grajewie, Ciechanowcu i Szczuczynie oraz rozbudowujemy ośrodki wypoczynku świątecznego w Boguszach i Ciechanowcu.

— Każde przedsięwzięcie, aby osiągnęło cel, potrzebuje sprzężenia wysiłków skupionych przy nim ludzi. Nawet najlepsza baza nie stworzy dobrego sportu, jeśli nie będzie zbieżności interesów zawodników, trenerów, działaczy i administratorów. A tu słychać, że trenerzy odchodzą, zawodnicy dają się przekupować, a działacze się degenerują.

— Trenerów odeszło zaledwie dwóch, zawodnicy zmieniają kluby na skutek niezbyt sumiennego przestrzegania przepisów regulujących zasady zmiany klubowych barw, natomiast działacze... Trzeba od początku tworzyć wokół nich atmosferę społecznego zaufania, ale także przywrócić im samym wiarę w skuteczność i pożytki działalności w tej dziedzinie. Wielu działaczy bowiem odeszło od nas na skutek złej pracy administracji klubów oraz braku bazy. Po prostu stracili nadzieję na poprawę sytuacji, w której niewiele się zmieniło od lat. A przecież obecnie, przy niskim poziomie środków

tych zaadaptowano salę gimnastyczną,  
lecz idea upadła

— W momencie powstania województwa łomżyńskiego działalność sportowa ograniczała się do klubów, gdzie preferowano dyscypliny zespołowe. Nie osiągnęły one dużego poziomu. Aby zaakcentować swoją obecność na sportowej mapie Polski, postawiliśmy na dyscypliny indywidualne, w tym również zimowe, np. narciarstwo klasyczne lub łyżwiarstwo, ale nie znaleźliśmy do tego warunków. Ponieważ w Kolnie objawiał się entuzjazm biathlonu i było trochę sprzętu, chcieliśmy wykorzystać szansę. Jednak w konfrontacji z województwami południowymi wyszły na jaw wszystkie niedostatki — sprzętu i bazy — oraz brak miejsca do organizowania obozów szkoleniowych, bez ponoszenia ogromnych kosztów. Z biathlonu jeszcze nie zrezygnowaliśmy; jest on nadal uprawiany w Kolnie, ale już jako dyscyplina drugoplanowa.

Łuczniczstwo nasze wzięło swój początek jeszcze w Łomży powiatowej; wówczas było ono synonimem postępu w rozwoju sportu lokalnego. Obecnie łuczniczstwo w Łomżyńskim, ze względu na brak toru treningowego, wydaje się nam dziedzina bez przyszłości, dlatego zdecydowaliśmy się na jego likwidację, a sprzęt przekazaliśmy szkołom rolniczym.

Chcieliśmy rozwijać boks, bo to dyscyplina z tradycjami, no i takie było zapotrzebowanie środowiska. Stworzyliśmy więc bazę, ale ŁKS nie potrafi we właściwy sposób zorganizować pracy sekcji, a i — prawdę mówiąc — działacze klubu wzięli zbyt mało za serce. Nie interesują. Sale pozostawiliśmy uczniom Szkoły Podstawowej nr 2.

Natomiast decyzja WLKS „Narew” o likwidacji gimnastyki była, moim zdaniem, zbyt pochopna. Nie należało załamywać się przejściowymi trudnościami. Jest to przecież dyscyplina nie wymagająca dużych nakładów finansowych, a do tego bardzo widowiskowa.

— Marnotrawstwem jest także zbyt łatwe rezygnowanie z ludzi, w których inwestowało się latami. Inaczej mówiąc: jeśli zawodnik przestaje zdobywać punkty, odchodzi od sportu definitywnie, choć mógłby być przydatny np. w rozwijaniu sportu masowego, na który w ogóle należałoby postawić w naszym województwie i planować osiedla z placami gier, boiskami i terenami rekreacyjnymi. Zasada opłacalności sportu miałaby wówczas zupełnie inny wymiar społeczny.

— Konsumpcyjny stosunek do sportu zawodników i działaczy, dążenie do sukcesu za wszelką cenę, bez przebiegania w środkach — z jednej strony, a jego zbiurokratyzowanie — z drugiej, doprowadziły do wypaczeń i upadku moralności w naszym środowisku. Zapomniano o idei sportu. Nie można jednak generalizować. Spore grono byłych zawodników to obecni sędziowie, trenerzy i organizatorzy sportu masowego w zakładach pracy. Złe się dzieje, że w osiedlach tereny przewidziane na rekreację zarastają trawą albo zastawia się je wątpliwej urody garażami. Żałujemy, że administracja sportowa nie ma żadnego wpływu na zagospodarowanie osiedli; uczestniczy jedynie nieznacznie w ustaleniach. Mam głęboką nadzieję, że idący przez nasz kraj duch odnowy nie ominie i sportu.

— Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.

## CIĄGNIKI CZEKAJA

Od 30 września w grajewskiej  
składnicy maszyn rolniczych stoi  
prawie 100 nowiutkich ciągników.  
Jak się okazuje — czekają na na-  
bywców! Dostawa ich była zaplano-  
wana na II kwartał br. Rolnicy,  
którzy otrzymali na nie przydziały,  
widać poradzili sobie w inny spo-  
sób i obecnie nie są zainteresowani  
ich kupnem. Natomiast nowych  
przydziałów dotychczas nie rozdzie-  
lono. Choć chętnych przecież nie  
brakuje. W długiej kolejce czekają na  
nie inni rolnicy, których podania za-  
łatwiono odmownie. W efekcie biu-  
rokratycznej mitręgi w bardzo trud-  
nym okresie prac polowych tak po-  
trzebny sprzęt rolniczy przestał na  
placu. W sąsiedztwie składnicy wy-  
wieszono na parkanie hasło ataku-  
jące przechodniów wielkimi litera-  
mi: „Handel wiejski motorem roz-  
woju wsi”. No cóż, taki handel na-  
 pewno z motorem wiele wspólnego  
nie ma. Raczej z hamulcem.

## KARA ZA RZETELNOŚĆ

Rolnicy wsi Graaue w gminie Perlejewo są rozczarowani, uważają, że ich skrzywdzono. Zawarli umowy z Przedsiębiorstwem Przemysłu Spożywczego w Łomży na wcześniejszą dostawę ziemniaków. Gdy z umowy wywiązali się, minister Handlu Wewnętrznego i Usług zdecydował, że rolnicy którzy dostarczą do punktu skupu ziemniaki otrzymają za każdy kwintal dodatkowo, oprócz zapłaty, przydział na 20 kilogramów paszy i 30 kilogramów węgla. W tym czasie wzrosły również ceny ziemniaków. Rolnikom nie tyle za pieniądze, co przydziałów. W większości są to specjaliści w produkcji ziemniaków i nie mają możliwości „odrobienia” strat dostawami innych produktów. Faktem jest, że prawo nie działa wstecz. Złe by jednak było, gdyby rolnicy doszli do wniosku, że rzetelne wywiązywanie się z umów nie zawsze popłaca.

## ANI HEKTARA...

W Miodusach Stok, Miodusach Wielkich, Wólce Małej i Dużej, Wiśniowie nie zaorano jesienią ani hektara ziemi. Przyczyna: rolnicy nie mogli wiechać na nie zdrenowane, podmokłe pole.

## MEDALE ZA WYTRWAŁOŚĆ

Po 50 latach zgodnego pożycia małżeńskiego spotkali się ponownie na ślubnym kobiercu mieszkańcy gminy Łomża: Władysława i Michał Archaczy z Podęgża, Anna i Teodor Lubakowie z Zosina, Stanisława i Stanisław Piontkowie z Giełczyzna. W gminnym USC jubilatów wręczono przyznane przez Radę Państwa medale „Za długoletnie pożycie małżeńskie”. Do życzeń dla jubilatów dołącza się redakcja.

## Z MARGINESU

Coraz śmieiej działają włamywa-  
cze w Łomży. Ostatnio po wybi-  
szyby w mieszkaniu przy ulicy Sło-  
necznej weszli do środka, zastają-  
właściciela Czesława S. Napastnicy  
pobili go i po zrabowaniu 500 zło-  
tych zbiegli. 84-letni Czesław S.  
przebywa w szpitalu.

Przy drodze w odległości około 1 km. od Nura znaleziono w rowie wypełnionym wodą zwłoki Witolda G. Jak się okazało przed tragicznym wypadkiem spędził on dłuższy czas w gospodzie i w drodze powrotnej wpadł do rowu, z którego nie mógł się wydostać.

# krzewienie wyników

dze zespoły lekkoatletyczne kobiet i mężczyzn oraz kibicą drużyny tenisa stołowego. Pięć zespołów z różnych dyscyplin sportowych występuje w klasie międzywojewódzkiej, a czterem zawodników powołano do kadry narodowej juniorów i juniorów młodszych. Na VII Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży poprawiliśmy swoją lokatę o sześć miejsc i uplasowaliśmy się na 36. pozycji. Nie bez znaczenia jest fakt, że na Igrzyskach Młodzieży Szkolnej zajęliśmy 5 miejsce, a w Igrzyskach Szkół Rolniczych — 9. Jak widać, sport w Łomżyńskim istnieje w znaczeniu obu pojęć, krzewienia i wyników, lecz nie we wszystkich dziedzinach, bo poddanie się presjom ambicioanalnym nie przyniosłoby efektów; byłoby po prostu stratą pieniędzy i czasu.

— Z tej wyliczanki wynika, że w województwie święci triumfy młodzież szkolna; czy znaczy to, że w ogóle sport szkolny?

— Zdecydowanie tak. Sport województwa opiera się na uczniach, kadry nauczycielskiej oraz bazie szkolnej, dzięki czemu nie przeżywa on tylu kłopotów wychowawczych, jakich doświadcza w innych regionach kraju, w których ma lepsze warunki, wyższe wyniki i bardziej chorobliwe ambicje. Nie najlepiej układa się natomiast współpraca samorządów klubowych ze szkołami czy niektórymi zakładami pracy oraz rodzicami zawodników, aby nadzor nad ruchem sportowym mógł być stały i wystarczająco ścisły. Stąd potem poważne problemy z dyscypliną w klubach i utrzymaniem w nich trenerów czy zawodników, jak to było niedawno w przypadku trzech koszykarek czy brzojaka Andrzeja Targa.

— Wiadomo jednak, że bolsk i sal szkolnych na zaspokojenie potrzeb (choćby watłego) sportu wyczynowego

przeznaczonych na kulturę fizyczną, potrzebą chwili stało się szybkie uspołecznienie ruchu sportowego. Wydatnej pomocy społeczników; spodziewamy się również, w słabo u nas funkcjonującym systemie kontroli pracy klubów, przydatności trenerów, gospodarki funduszami.

— Jak zamierza Pan pozyskać dla sportu autentycznie oddanych działaczy, skoro wiadomo, że środki finansowe w przyszłych latach nie wzrosną, a zatem, nie poprawią się, według nich warunki pracy w klubach?

— Rzeczywiście dofinansowanie łomżyńskiego sportu pozostanie na poziomie bieżącego roku. Ale zwrócimy się z apelami do zakładów pracy o dalsze wspieranie kultury fizycznej. Zgłosiliśmy też pod adresem Głównego Komitetu Kultury Fizycznej listę postulatów, które dotyczą m.in. doposażenia województwa na sprzęt sportowy i materiały budowlane na konieczne obiekty, zasad ich wykorzystania oraz przydziału środków finansowych na działalność oraz zamierzenia inwestycyjne. Realizacja tych postulatów powinna przynieść nawrót zainteresowania sportem ze strony zniechęconych społeczników. Ale to nie wszystko. Przyznaję, że dotychczas niedostatecznie docenialiśmy pracę działaczy, rzadko ich wyróżnialiśmy liczącymi się w opinii społecznej nagrodami czy odznaczeniami. Postaramy się rzetelniej oceniać ich trud i dobrą wolę.

— Nawet najdokładniejsze spełnienie Waszych postulatów nie ukroci marnotrawstwa, które szerzy się w wielu dziedzinach wojewódzkiego życia sportowego. Oto np. w Kolnie rozpoczęto zabieg o pełną stworzenia biathlonu, a w Łomży — łucznictwa i gimnastyki; zakupiono bardzo drogi sprzęt i zaangażowano szkoleniowców, po czym zapał wszystkim minał, a pieniądze ugrzęzły. W Łomży miała powstać sekcja boksu; kosztem kilkuset tysięcy zło-

# KARTA UCZESTNICTWA W TURNIEJU TENISA STOŁOWEGO

Nazwisko i imię

Zbiorcza Szkoła Gminna

Adres uczestnika

Data i miejsce urodzenia

Potwierdzenie zgłoszenia przez opiekuna SKS



13.11.1980

TV 19.11.1980

## CZWARTEK 13 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. I.

6.30. TTR, RTSS — chemia, sem. I.

8.10. Zoologia, kl. VII — Świat owadów.

9.00. Historia, kl. VI — Początki nowożytności.

11.00. Język polski, kl. VII-VIII — Radość.

12.50. „Pochodzenie człowieka” — film oświatowy.

13.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. III.

14.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Czwartek TDC, m.in. — „Był sobie raz człowiek” — francuski film animowany.

17.30. Magazyn Motoryzacyjny.

18.00. Turniej Reporterów.

18.25. „Patrol” — „Podchorąża edukacja”.

18.50. Dobranoc.

19.00. „Sonda” — „Camera obscura”.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Teatr Sensacji: Joseph Sheridan le Fanu — „Carmila”.

21.15. „Pegaz”.

22.05. Dziennik Telewizyjny.

22.20. Kontrowersje — program publicystyczny.

22.50. „Mózg” — „Bodziec i reakcja”.

PROGRAM II

10.00. Piłka nożna: Hiszpania — Polska.

11.35. Wieczór Filmowy — „Zawód aktor”.

12.35. „Sonda”.

17.00. KOSMOS — Ziemia.

19.00. „Piosenki Tygodnia”.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. NURT — Powstanie Listopadowe.

20.30. NURT — psychologia.

21.10. 24 Godziny.

21.20. Wieczór Filmowy — „Zawód aktor”.

22.40. NURT — matematyka.

PIĄTEK 14 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. III.

6.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.

8.10. Geografia, kl. VII — Od Morza Białego po Czarne.

9.00. Program dla kl. III — „Wszyscy dla wszystkich”.

9.55. Geografia, kl. VI — Nasza gospodarka wodna.

11.00. Wychowanie obywatelskie — Wybieczka do fabryki.

12.50. Geografia, kl. VIII — Osobowości krajoznawcze Ameryki Północnej.

13.30. TTR — uprawa roślin, sem. I.

14.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. I.

15.20. NURT — elementy wiedzy o sztuce.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Dla dzieci: „Kółko Graniaste”.

16.55. „Dzień dobry, w kregu rodziny”.

17.25. Gra Agnieszka Draczkowska.

17.40. „Tajemnica Enigmy” (I) — film sensacyjny TVP.

18.50. Dobranoc.

19.00. Telewizja Młodych przedstawia: Lista przebojów książkowych.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. „Los człowieka” — radziecki film fabularny.

21.50. „Listy o gospodarce”.

22.20. Dziennik Telewizyjny.

22.35. Teatr Nieduży Jaromiego Przybory: „Departament trzynasty”.

PROGRAM II

10.00. „Siedemnaście mgnień wiosny” (I) — radziecki film serijny.

11.10. „Gwiazdzbior”: Innokentij Smoktunowski.

11.50. „Tajemnica Enigmy” (I) — film TVP.

12.45. „Uśmiech spod parasola”.

17.00. Kino — „Kino Obieżyświat”.

17.40. Klub Jazzowy Studia Gama: Nadebecum.

18.20. Małe Kino.

18.30. „Spotkanie Literackie”.

19.00. Piosenki Tygodnia — cz. I.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Piosenki Tygodnia — cz. II.

20.20. „Czas wiele zmienia” — ballady znanych twórców muzyki country.

20.50. „Gwiazdzbior”: Innokentij Smoktunowski.

21.35. 24 Godziny.

21.45. „Konstancja wychodzi w morze” (I) — film TV francuskiej.

22.40. „Mówić nie mówić”: Antykonceptcja bez koncepcji.

SOBOTA 15 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, sem. I.

6.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. I.

13.30. TTR — uprawa roślin, sem. III.

15.30. Militaria, Obronność, Nowoczesność: „Złote ręce”.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Dla dzieci: „Skakanka”.

17.00. Telewizja Młodych przedstawia: „Taki jest świat”.

17.30. I Liga Piłki Nożnej.

18.20. „W kraju dzikich zwierząt”: — „Wielkie zarle” — francuski film dokumentalny.

18.50. Dobranoc.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. „Michał Strogow” (I) — francuski film serijny.

21.35. Program reporterów: — „Blisko i daleko”.

22.10. Dziennik Telewizyjny.

22.25. Kino Nocne: — „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami” (4).

PROGRAM II

16.55. Telekino sprzed lat: — „Barbara i Jan” — (I), polski film fabularny.

17.25. „Podróż Jachtu „Yankee”, amerykański film dokumentalny.

18.15. „Szamujmy wspomnienia” — Piosenki Andrzeja Korżyńskiego.

19.00. Piosenki Tygodnia.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Wulkany Świata: Etna.

21.00. Jazz International — Prezentacja muzyki jazzowej.

22.05. „Siedemnaście mgnień wiosny” (3) — film serijny TV ZSR.

## 23.10. „Poeci i ich wiersze”: Anna Świerczyńska.

## NIEDZIELA 16 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.10. TTR — uprawa roślin, sem. III.

6.40. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III.

7.10. TTR, RTSS — nasze spotkania.

7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.

8.10. Emerytura dla rolników.

8.20. Telewizjada.

9.00. Teleranek, m.in. „Niedźwiedź pana Adamsa”.

10.20. Antena.

11.10. „Piękne głosy”: Nelly Miricioiu-Ionescu.

11.55. Dziennik Telewizyjny.

12.15. Rolnicze rozmowy.

12.45. „Kolegium”: Warszawska Stawka — zabytek osobliwy.

13.25. „Przygody Sindbada” — „Przygoda w Diamentowej Jaskini”.

13.50. „Turcja — spadkobiercy Atatürka” — publicystyka międzynarodowa.

14.10. Tylko w Niedzielę.

19.00. Wieczorynka.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

Tylko w Niedzielę (cd)

20.10. „Henryk IV — Król Francji” (2): — „Biali piórpusz”.

PROGRAM II

9.00. „Tylko dla kibiców sportowych”.

10.35. „Nasz znak — Orzeł Biały — program wojskowy.”

11.00. „Przeboje Tygodnia”.

11.50. „Życie na Ziemi” (7) — „Zdobycy lańdu”.

12.45. „Świat się śmieje” — reż.: — Grigorij Aleksandrow.

14.10. „Popołudnie Fauny i Flory”.

15.00. Sportowa Niedziela.

16.00. Teatr Telewizji: Franz Kafka — „Proces”.

18.00. Telewizyjny Music-Hall.

19.00. Nagrodzone na Festiwalu: „Od-wiedźniny” — reż. Radosław Piwowarski.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. „Jest takie miejsce” — dokument przyrodniczy TV NRD.

20.55. „Uśmiech spod parasola” — program rozrywkowy.

2.20. „Piotrusia” — francuski film fabularny.

22.50. Bajka dla dorosłych — „Skrzydła”.

PONIEDZIAŁEK 17 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

13.30. TTR — język polski.

14.00. TTR — chemia.

15.20. NURT — elementy wiedzy o sztuce.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Zwierzynek.

16.55. „Dzień dobry w kregu rodziny”.

17.20. Klinika zdrowego człowieka.

17.45. „Arsene Lupin” — „Dama w kapeluszu z piórkami” — francuski serial kryminalny.

18.40. Rolnicze rozmowy.

18.50. Dobranoc.

19.00. Echa stadionów.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Teatr telewizji: Franz Kafka — „Proces”.

22.15. Dziennik Telewizyjny.

22.30. Czas Norymbergi.

PROGRAM II

10.00. Klinika zdrowego człowieka.

10.30. Dzień włoski w TVP.

17.00. — 23.35. Dzień włoski w TVP.

WTOREK 18 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.00. TTR — język polski.

6.30. TTR — chemia.

8.10. Historia kl. VIII: Nauka i kultura II Rzeczypospolitej.

9.00. Język polski kl. V: Spotkanie z pisarzem.

9.55. Program dla kl. I-III: „Czerwone, żółte, zielone” — Gdy jest ciemno.

13.30. TTR — język polski.

14.00. TTR — fizyka.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Telewizyjny klub seniora.

16.55. Skolajzenia — teleturniej.

17.15. Dom i my.

17.35. Magazyn telewizji młodych — C.D.N.

18.15. „Królik Bugs przedstawia” — amerykański film animowany.

18.40. Polska Kronika Filmowa.

18.50. Dobranoc.

19.00. Lekarzy radzi — „Bóle głowy”.

19.10. Świadkowie.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. „Syberia”, cz. II — radziecki dramat historyczny.

21.45. „Prawde mówiąc” — program publicystyczny.

22.20. Dziennik Telewizyjny.

22.35. „Spotkanie liryczne” — Dancing: śpiewa Krystyna Janda.

PROGRAM II

10.05. Szkiełko i oko — magazyn popularno-naukowy.

11.05. „Syberia”, cz. II — radziecki film historyczny.

15.20. Program dnia.

15.25. Dla młodych widzów: Sekrety kina.

17.00. Dla młodych widzów: Latający Holender.

17.30. „Tak czy inaczej” — program publicystyczny.

18.00. „Szkiełko i oko” — magazyn popularno-naukowy.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Wtorek melomana — W kregu mistrzów baroku.

21.50. „Cyryl” — komedia filmowa.

ŚRODA 19 LISTOPADA 1980 r.

## PROGRAM I

6.00. TTR — język polski.

6.30. TTR — fizyka.

8.10. Chemia kl. VIII: Białka.

9.00. Fizyka kl. VI: Kiedy upadnie Krzywa Wieża.

9.55. Praca — Technika kl. I: Mój mały samochódzik.

13.30. TTR — matematyka.

14.00. TTR — fizyka.

15.20. NURT — matematyka.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Michalki.

17.00. Losowanie Express-lotka i Malego lotka.

17.10. Polska — Algieria, NRD — Węgry.

19.00. Dobranoc.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Robotnicze sprawy: „Perla w koronie”.

20.10. XYZ, cz. I.

22.35. Dziennik Telewizyjny.

22.50. XYZ, cz. II.

PROGRAM II

10.00. „Brygady Tygrysa” — „Epoka oszczerstw”.

11.00. Camerata.

11.20. Antykwarjat — Historia na pergaminie pisana.

11.50. „Dom na skraju miasta” — czechosłowacki film obyczajowy.

17.30. „Dom na skraju miasta” — czechosłowacki film obyczajowy.

18.30. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej — 35-lecie „Problemów”.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Antykwarjat — historia na pergaminie pisana, dokumenty śląskie z XII — XIV w.

20.40. „Kształt słowa” — problemy literatury polskiej i obcej.

21.10. 24 Godziny.

21.20. Poradnia zaufanie.

22.05. Teatr Wspomnień (1979): Maurice Cury — „Krzeseł w szarym polu”.



Łomża, kino „Październik”: 13-14 XI — „Dziecko wojny”, prod. radz. (od lat 12); 15-17 XI — „Niech żyje Meksyk”, prod. radz. (od lat 15); 18-20 XI — „Zagubieni w tajdze”, prod. radz. (od lat 12).

Ciechanowiec, kino „Meteor”: 13-14 XI — „Cudze listy”, prod. radz. (od lat 12); 15-16 XI — „Romanca o zakochanych”, prod. radz. (od lat 15); 18-19 XI — „Re-wolwer”, prod. wł. (od lat 18).

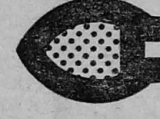
Grajewo, kino „Relaks”: 13-14 XI — „Była cisza”, prod. radz. (od lat 12); 15-16 XI — „Kurierzy dyplomatyczni”, prod. radz. (od lat 12); 17-18 XI — „Szukaj wiatru”, prod. radz. (od lat 15); 19-20 XI — „Step”, prod. radz. (od lat 12).

Jedwabne, kino „Oaza”: 13 XI — „Obcy — 8 pasażer „Nostromo”, prod. ang. (od lat 15); 15-16 XI — „Tęgo nie prze-bialiliśmy”, prod. radz. (bez ograniczeń);



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni świątecznych): we wtorki i czwartki w godz. 11.00-18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00-15.00, w niedziele w godz. 11.00-15.00. Wystawy: „Rzeźba i tkanina Kurpiowskiej Puszczy Zielonej” — ekspozycja tkanin dekoracyjnych i rzeźb z okresu od II połowy XIX wieku do współczesności, a także dekoracyjnych wyrobów snycerskich i fragmentów tkanin ubraniowych, ze zbiorów własnych i Muzeum Okręgowego w Ostrołęce; „Bursztyn z Dorzecza Narwi-Srodkowej” — wystawa prezentująca wydobycie obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w



Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: spotkanie Klubu Seniora — w programie m.in. zbiórka przeczytanych książek z przeznaczeniem ofiarowania wychowankom Domu Dziecka, 16 XI, godz. 14.00; „Simanionki” Tadeusza Wieźna — spektakl Teatru im. Juliana Tuwima z Łodzi, 19 XI, godz. 18.00 i 20 XI, godz. 16.30 oraz 19.30.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: „Dantes” — minicyrk, 18 XI, godz. 17.00 i 19.00; wystawa reprodukcji malarstwa polskiego XX wieku (czynna do 30 XI).

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-

19-20 XI — „Gwiazda zwodniczego szczęścia”, prod. radz. (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos”: 13-14 XI — „Anna i komandor”, prod. radz. (od lat 12); 15-16 XI — „Ballada o Kowpaku”, prod. radz. (bez ograniczeń); 17-19 XI — „Zabójstwo chińskiego maklera”, prod. USA (od lat 18).

Nowogród, kino „Ziemowit”: 15-16 XI — „Był sobie drożdż”, prod. radz. (bez ograniczeń).

Stawiski, kino „Saturn”: 13-14 XI — „Biały statek”, prod. radz. (od lat 12); 15-16 XI — „Spóźniona miłość”, prod. radz. (od lat 12); 18-19 XI — „Ta jedy-na”, prod. radz. (od lat 12).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 13-14 XI — „Tajemnica stalowego miasta”, prod. CSRS (od lat 12); 15-16 XI — „Dziedzictwo”, prod. ang. (od lat 18); 18-19 XI — „Wilczy śladem”, prod. radz. (od lat 12).

Zambrów, kino „Kosmos”: 13 XI — „Powrót do domu”, prod. USA (od lat 15); 14-15 XI — „Rój”, prod. USA (od lat 12); 16-17 XI — „I ty zobaczysz niebo”, prod. radz. (od lat 12); 18-19 XI — „Kugitańska tragedia”, prod. radz. (od



## O UROKACH STÓJ KRASULA

Urok na krowę może rzucić każdy, kto to umie. Sam to przeważnie wie, a ludzie rozumieją, że ma z tego czy. Zauroczyć może ciężko albo lekko świadomie ze złości lub niechęci przez zazdrość. Złość bierze się z zawiści, że ty masz dobrze dojną krowę, a ktoś nie ma. Taki siedzi na przyzbie czy stoi u płota i tylko patrzy, jak krowy idą z pastwiska. „Aha — myśli — ta jest mocno mleczna, powinna być moja. A nie jest! To i ty z niej pożytku mieć nie będziesz.” I mleko jej odbiera. Jeszcze szybciej odbiera, kiedy udół w wiadrze uwidzi. Krowa nie tylko mleko straci, ale i żaby dostanie: od łopatek do ogona skóra jej do kości przyschnie na kształt wielkiej ropuchy, a będziesz odrywał to trzeszcząc i pękając. Krowa schnie, a do tego krwią z wymion tryska i tak idzie

bez ratunku na marne. Bo ratunku nie masz. Nawet inny człowiek, od uroków obkadzaniem, nic nie pomoże. Nadaremny jego trud.

Najlepiej jest złych oczu do bydła nie dopuszczać. A jak którą krowę chcesz sprzedać, to kupca za próg obory nie wpuszczaj. On niby jak każdy: ogonową chrząstkę zmierzy, gruczoły mleczne obmaca — ale zwróci złym okiem obrzuci i musisz już wtedy przystać na jego cenę, bo z bydłaka pociechy sam mieć nie będziesz: tylko na mięso się nada.

Przeważnie zle czy ma człowiek kilka razy w niemowlęctwie do pierś przywracany. On to przed ludźmi ukrywa, ale w godzinie śmierci wyznaje lub niechęci zdradza nawoływaniem: „Stój, Kwiatuła!” „Stój, Łatka!” „Stój, Krasula!”

(zel)



Rysunek Topora

## MOWA RĄK

### UWAGA NA PALCE

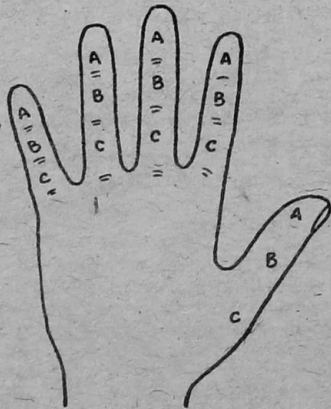
Krótkie palce. oznaczają spontaniczność, szybkość, ich posiadacz jest człowiekiem czynu; długie — cierpliwość, drobiazgowość, systematyczność i umiłowanie porządku; szerokie palce cechują materialistów; wąskie — ludzi słabych i nerwowych. Nie bez znaczenia jest fakt, czy palce są proste, czy wygięte i w którą stronę. Jeśli wykrzywione są w stronę zamknięcia ręki, mamy do czynienia z osobnikiem gwałtownym, indywidualistą ze skłonnościami do przewodniczenia, pozbawionym kompleksów, ale także taktu i w ogóle mało tolerancyjnym. Palce giętkie, proste i sprężyste należą zwykle do ludzi taktownych, dowcipnych i towarzyskich, umiejących się przystosować do każdej sytuacji.

Czytając z ręki należy zwrócić uwagę na poszczególne części palców. Partie oznaczone na rysunku literą A mówią o intelekcie; B — o zmysłach praktycznych; C — o możliwościach fizycznych. Wielkość części oznacza, czy mamy do czynienia z myślicielem, czy z osiołkiem.

PALEC JOWISZA — zmysł ambicji, miłości do władzy i zdolności kierowniczych. Długie i mocne palce wskazują na ambicję

despotę i okrutnika, natomiast krótkie — nieumiarkowanego egoistę.

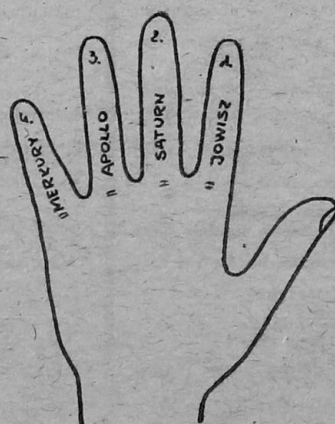
Smukły koniec Jowisza oznacza intuicję; kwadratowy — umiłowanie prawdy; łopatkowaty — fanatyzm; owalny — delikatność. Im dłuższa część A, tym więcej intuicji, krótsza — więcej sceptycyzmu. Jeśli jest gruba, mamy do czynienia z egoistą, jeśli cienka — z człowiekiem czułym na honory. Część B w Jowi-



szu jest stosunkowo mało znacząca, natomiast długie C znamionuje ludzi dążących do władzy; krótkie — skromnych i zrezygnowanych; grube — chełwych, cienkie mówią, że właściciel umie kontrolować naturalne popędy.

PALEC SATURNA odnosi się do sfery myśli. Jeśli dominuje nad innymi oznacza powagę, ale z poczuciem humoru o satyrycznym zabarwieniu i skłonności do samotnictwa. Jeśli Saturn jest słaby, krótki i chudy mówi o kłopotach z koncentracją i braku odpowiedzialności.

„Przerost” części A i smukły ko-



niec Saturna to lekkomyślność, koniec kwadratowy — powaga i zdrowy sąd, koniec łopatkowaty — pesymizm. Jeśli część B Saturna jest długa wroży precyzję i umysł naukowy, jeśli szczupła — zamiłowanie do filozofii. Długie C — samotność z wyboru, grube — pracowitość.

PALEC APOLLINA, zwany też palcem Słońca, mówi o towarzyskości, stosunku do sztuki i określanie mniemania o sobie. Im większy palec Apollina, tym większy artysta, przy czym wydłużone A należy do ekscentryków, krótkie do ludzi milujących prostotę. Krótkie B oznacza kiepski zmysł estetyczny. Smukłe zakończenie palca — mistycyzm; kwadratowe — spokój, pewnością siebie; łopatkowate — aktywność.

PALEC MERKUREGO określa zdolności do robienia interesów, talent literacki i oratorski. Zakończenie łopatkowate — dowcip; kwadratowe — zdrowy rozsądek; smukłe — skłonność do metafizyki. Część A załamana do wewnątrz dłoni mówi o egocentryzmie i braku skrupułów, załamana na zewnątrz — o ciekawości. Długość tej części określa głód wiedzy. B cienkie — ambicje; długie — zmysł handlowy. Długa część trzecia to znak elokwencji; krótka — zaufanie do świata i śmiałość poczynają; gruba — kompleksy seksualne.

Za tydzień — wszystko o kciuku.



Rysunek Władysława Mściuchowskiego

## MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Akcja toczy się tym razem w nadnarwiańskich krzaczach i mamorach koło Choroszczy. Miejsce nie jest oczywiście przypadkowe, chociaż wszelka zbieżność nazwy miasta z sytuacją nie nie znaczy, aczkolwiek o czymś świadczy.

SUPRASKI: Kuliedzy! Muszę ja wam zapodać, do publicznej wiadomości, następujące wiadomości o głębokich przemianach. Ze względu na stan zdrowia, odchodzę ja na placówkę, czyli, jak to się mówi, do dyplomacji.

BUZAŃSKI: Jezus Maria!!!

NARWIANSKI: A czemuż to przeklinacie, kolego? Żadna praca nie hańbi... chańbi?...

BIEBRZAŃSKI: Ortografia nie ważna. Ważne, gdzie go posła. Jeśli dajmy na to do drugiej strefy...

SUPRASKI: Wy, mnie, kuliego, do mojej kieszeni nie zaglondajcie. A tak po prawdzie, to ja się po was spodziewałem całkiem innego pożegnania. Nu, ale pies z wami tańcował.

BUZAŃSKI: Język już macie całkiem dyplomatyczny, kolego Supraski.

SUPRASKI: Spokojna wasza głowa o mój język. Poczekajcie trochę, a zaraz wam języki kołkiem w gembie staną!

Diabły niepewnie patrzą na siebie. I słusznie, bo w końcu nie wiadomo. Chwilę milczą wymownie, aż tu nagle jak nie zagrmiał! Rozstępuje się podmokła rudawina i z otchłani wytańcza się na ziemię archanioł Gabriel, popychając przed sobą postawionego diabła w średnim wieku, ze złocnymi rogami.

SUPRASKI: A co, nie mówił ja wam, kurcza wasza noga? Teraz z nim bendziecie rozmawiać, bo ja odchodzę w zamglono-dal!

DOJLICKI: Moje uszanowanie państwu. Nazywam się Dojlicki. Mużna powiedzieć, że do tej pory byłem tu i ówdzie, przeważnie tam, gdzie było trzeba. Przyszedłem zrobić tu porządku, więc mużna powiedzieć, że trzeba uważać.

BUZAŃSKI: Niby na co mamy uważać? Piekiełnego centralizmu znowu wam się zachciewa? Koniec z makroregionami. Teraz każdy dla siebie mikroregionem i basta!

DOJLICKI: Wy się nazywacie Buzański, prawda?

BUZAŃSKI: Prawda, a bo co? He?

DOJLICKI: A bo nie. Właśnie chciałem powiedzieć, że ja się nazywam Dojlicki.

NARWIANSKI: A ja Narwiański i nie ma o co się kłócić. Lepiej porozmawiajmy o naszych diabelskich przewagach. Ostatnio, nie chwając się, znowu urządziłem tych, co jeszcze pozostali przy wyburzanej ulicy Sikorskiego w Łomży. W trzecim kwartale mieli dostać mieszkania, więc im oczywiście nie dałem.

BUZAŃSKI: No i co z tego?

NARWIANSKI: A to, że węgle też im nie dałem. No, bo na co komu węgiel, jeśli ma się przenieść do bloku? Siedzą teraz ludziska przy swoich kaflowych piecach, władzę chwalą i szczekają zębami. A co który szczególnie, w piekle radości przybywa.

BUZAŃSKI: Musicie się zaraz chwalić przed nowym? Niech on się najpierw pochwali.

DOJLICKI: Koledzy! Miałbym się i ja czym pochwalić. Kiedy byłem, dajmy na to, namiestnikiem, z całą stanowczością, aczkolwiek niewidocznie, występowałem przeciwko niektórym postanowieniom piekieł. Między innymi dzięki mnie... eee... tego...

BUZAŃSKI: No właśnie! Coście takiego zrobili? Przeciwno czemu żeście występowali?

DOJLICKI: Ja? Ho, ho!

BUZAŃSKI: He, he!

BIEBRZAŃSKI: Hi, hi... itd. itp. etc.

Diabły wydają nieartykułowane, aczkolwiek zrozumiałe dźwięki, zacieśniają szeregi. Dojlicki wyciąga z teczek koniak marki „Czarna rozpacz”.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samolstny

POKUSY